EPOKA

ROK V. | Warszawa, 15 marca 1938 r. | Nr 8 (111)

Treść numeru:

NAD GROBEM NIEPODLEGŁOŚCI AUSTRII — J. Węgliński

BURZE MORALNE I FAŁSZYWE GROMY — H. Lukrec

POTĘGA PAŃSTWA — TO ZAUFANIE LUDU — Prof. M. Michałowicz

Z DNIA NA DZIEŃ:
Daremne usiłowania. — „Forytowanie lewicy". — Ciężkie chmury nad palestrą. — Recepta na przeciwtruciznę.

NAJWIĘKSZE OSZUSTWO STULECIA — Z. Jarosz

GORZKI CHLEB I CIERPKIE WINO — W. Rogowicz

ZAGROŻONA NIEZAWISŁOŚĆ OBROŃCY — R. Lessel

SEKCJA MŁODYCH KLUBU DEMOKRATYCZNEGO — A. Kotarbiński

CZŁOWIEK Z „CYNKU" CZUCHNOWSKIEGO — S. Staniszewska

SYGNAŁY Z POLSKI „B" — J. Duchnowski

Nad grobem niepodległości Austrii

W swej, otoczonej podwójnym łańcuchem drutów kolczastych i żywych straży S. S., w willi w Obersalzberg, na tarasie, skąd szeroko rozpościera się widok na piękne szczyty Alp austriackich, kanclerz Hitler rozmawiał z kanclerzem Schuschniggiem. Obok, w pokoju, czekali generałowie, przedstawieni podczas galowego śniadania gościowi. Szef sztabu, trzej dowódcy granicznych okręgów korpusów. W górach pogranicza Reichswehra i oddziały S. A. odbywały właśnie ...zimowe manewry. Kanclerz Hitler pytał kanclerza Schuschnigga: „Co przeciwstawi mi pan, gdy te oddziały przeniosą swe manewry o kilkadziesiąt kilometrów na południowy wschód? Co przeciwstawi pan eskadrom lotniczym feldmarszałka Goeringa?" Tak opisują korespondenci prasy zagranicznej ową rozmowę, w następstwie której do rządu austriackiego wszedł p. Seyss-Inquart, mąż zaufania kanclerza Hitlera. Rozmowę odbytą w **niespełna dwadzieścia miesięcy** po mowie kanclerza Hitlera z dn. 21 maja 1935 r, mowie głoszącej jasno i dobitnie: **„Niemcy nie mają ani chęci ani zamiaru mieszania się w wewnętrzne sprawy Austrii, anektowania Austrii lub przyłączenia jej do Rzeszy."**

Se non é vero, é ben trovato. Nie wiemy, czy rozmowa ta odbyła się dokładnie podług powyższego opisu. Ale nie ulega wątpliwości dla nikogo w Europie, że jej **zasadnicza treść** była właśnie taka. Pod groźbą inwazji wojsk niemieckich dokonała się zmiana gabinetu austriackiego. Pod tą samą groźbą dn. 11-go b. m. ustąpił kanclerz Schuschnigg, powierzając losy Austrii Bogu, a na czele nowego rządu „narodowo - socjalistycznego" stanął Seyss-Inquart. Pierwszym jego krokiem jako szefa rządu było zwrócenie się do Hitlera z prośbą o „możliwie szybkie wysłanie wojsk niemieckich".

Depesza Seyss-Inquarta nie wprowadziła w błąd świata politycznego: bez tej „prośby" odbyłaby się aneksja Austrii jako akt solidarnie powziętej decyzji Hitlera i Mussoliniego. Jest jednak w depeszy Seyss-Inquarta zwrot pełny politycznej wymowy: prosi on o wysłanie wojsk niemieckich „dla przeszkodzenia przelewowi krwi". Słowa te zdradzają przeświadczenie, że poważny a może i przeważający odłam lud-

ności Austrii, daleki jest od dobrowolnej zgody na wyrzeczenie się niepodległości kraju.

Niedopuszczenie do plebiscytu, który miał wyrazić nieskrępowaną wolę ludności, świadczy najlepiej o obawie Hitlera przed wynikami tego plebiscytu i przed wrażeniem, które wywołałyby one w całym świecie cywilizowanym.

W dniu, kiedy wojska niemieckie przekraczały granice Austrii, prasa berlińska zapewniała, że nie chodzi tu o aneksję, lecz o „pomoc, niesioną Austrii, by mogła zbudować swoją lepszą przyszłość". („Berliner Börsen Zeitung") i o „umożliwienie swobodnego głosowania ludu". (Deutsche Allgemeine Zeitung). Nie minęło 24 godziny, kiedy Adolf Hitler po przybyciu do Linzu oświadczył: „Opatrzność, która powołała mnie niegdyś z tego miasta na stanowisko kierownika Rzeszy, musiała tym samym wydać mi jakiś nakaz: nakazem tym mogło być tylko przyłączenie z powrotem mojej drogiej ojczyzny do Rzeszy niemieckiej."

Tak oto spełnił się jeszcze jeden wielkiej wagi historycznej „fakt dokonany" na tej samej drodze, którą kroczy III Rzesza i cały „trójkąt" ku swoim celom istotnym.

Niemcy — w myśl testamentu Alldeutsche — mają stać się hegemonem kontynentu europejskiego, mają objąć władzę nad „Mitteleuropą" nad potężnym blokiem stukilkudziesięciu milionów ludzi, zamieszkujących przestrzeń pomiędzy Królewcem a Odessą, pomiędzy Strassburgiem a Konstancą.

Włochy mają odbudować dawne Imperium Cezarów, Morze Śródziemne, od Kairu po Triest i od Haify po wyspy Balearskie ma stać się „Mare Nostro", morzem własnym Rzymu.

Japonia idzie po szlakach „memoriału Tanaki", nakazującego jej budować nowe imperium azjatyckie, obejmujące Władywostok i Jawę, Kanton i Hawaje. Ocean Spokojny ma zamienić się w Morze Japońskie.

Oto cele prawdziwe „trójkąta".

Za wcześnie jest dzisiaj wdawać się w przewidywania, jakie będą bezpośrednie następstwa okupacji Austrii przez Niemcy. Być może, iż Austria będzie ostatnim z łatwych zwycięstw trójkąta, że jej los obudzi, już nie tylko sumienie, ale przede wszystkim prosty rozum polityczny świata demokratycznego, że nareszcie planowym agresjom faszyzmu przeciwstawi się blok tych państw, które nie szukają podbojów i przestaną iść dalej od kapitulacji do kapitulacji pod grozą zatrzymania się wreszcie przed dylematem: wielka, światowa katastrofa wojenna, lub niewola w odbudowanym „świętym cesarstwie narodu niemieckiego". Oceniając sytuację dzisiejszą, red. M. Niedziałkowski formułuje pogląd, będący poglądem całej demokracji, w słowach: konieczne jest stworzenie „zbiorowej siły realnej tych państw, które nie życzą sobie, by Europa stała się faszystowską, by prawo pięści było jedyną formą prawa międzynarodowego, by granice i niepodległość narodów znajdowały się w stanie nieustannego zagrożenia".

JÓZEF WĘGLIŃSKI.

Burze moralne i fałszywe gromy

W Moskwie toczył się kolejny proces przeciw „zdrajcom", „szpiegom", „psom faszystowskim", „mordercom" i t. d., uosobionym w podsądnych, kierowniczych dotąd osobistościach Rosji Sowieckiej. Rozgrywa się tajemnicza wieloaktowa komedia sądu nad podporami reżymu, który przemienia się w ich własną katownię i grób. Reżyseria pierwszego z tej przerażającej serii procesu Zinowiewa i Kamieniewa niczym się nie różniła od reżyserii następnego procesu Piatakowa, Radka, Smirnowa, tak samo jak nie różni się i obecnie w sprawie Bucharina, Rykowa, Krestińskiego i innych. Tutaj również rola prokuratora staje się poniekąd zbyteczną, raczej symboliczną w tym widmowym przewodzie sądowym, wywracającym funkcje, ławy i stanowiska. Każdy z oskarżonych jest sam dla siebie prokuratorem, a także i dla swoich towarzyszy niedoli. Każdy sam obdziera się z własnej czci, ochoczo niemal przyznaje się do popełnionych rzekomo potworności, pluje w własną duszę i własnymi rękami wypruwa z siebie człowieczeństwo.

W mowie polskiej mamy jeden wyraz, którym najdobitniej określić można cały sens moralny tego polityczno-sądowego rozrachunku: ohyda. Ohyda tym okropniejsza, że zaprawiona wyszukanym okrucieństwem.

To okrucieństwo jest znamieniem wszelkiej tyranii. Demokracja całego świata jednomyślnie je potępia i przygważdża jako hańbę wszystkich krajów dyktatury. W państwach faszystowskich ucisk, samowola, podeptanie prawa i sponiewieranie człowieka jest punktem wyjścia ustroju, opartego na przemocy, jest warunkiem ratowania kapitalizmu, przez trzymanie w niewoli rzesz ludowych i pracujących. W Rosji Sowieckiej, której ustrój społeczny stanowić miał naturalne warunki dla rozkwitu cywilizacji i kultury w olbrzymiej skali i być klimatem dla życia nowego człowieka na wyższym duchowym i etycznym poziomie — ucisk i okrucieństwo opriczyny stalinowskiej jest jeszcze większą hańbą i krzywdą dla świata wolności.

Reakcyjna prasa polska, wygrywając ohydę procesu moskiewskiego, miota się w pozornym oburzeniu i rozdziera szaty nad sponiewieraniem człowieka. Przywdziawszy na widowisko moskiewskie szaty Katona, odkryła naraz w sobie jego cnoty i poczuła się w prawie ferowania wyroków moralnych w duchu humanitarnym. Skąd — zapytać trzeba — zaczerpnęła natchnienia do tej roli? Czy z tej racji, że jej funkcją na gruncie naszym jest plugawienie życia polskiego, cofanie go wgłąb mroków średniowiecza pod znakiem prześladowań religijnych i rasowych, łamiąc tradycję oraz prawo moralne i pisane? Czy dlatego, że czerpiąc wzory z ponurych praktyk Rosji carskiej i hitlerii nastaje co dnia na godność człowieka innego obozu lub wyznania i jest źródłem nieustającej inspiracji albo aprobaty hec lub pogromów żydowskich. Czy może gloryfikowanie morder-

stwa, uosobione w niewiadomszczyźnie, daje tytuł do upominania się o człowieczeństwo? Cóż to za maskarada!

Organy napastniczej reakcji, uprawiające zawodowo nieustającą nagankę na wszystko, co jest w Polsce światłem rozumu i wzniosłości ducha, co jest wyrazem kultury uczuć, sprawiedliwości, patriotyzmu, — mają dziś odwagę drapować się w togi humanistów i pozować na orędowników obrażonego sumienia!..

×

Liga Obrony Praw Człowieka i Obywatela we Francji, stanowiąca chwalebną i zasłużoną redutę doborowych szermierzy światła i sprawiedliwości, pod wrażeniem procesu moskiewskiego powzięła ostrą uchwałę, ostrzegającą w zwrotach jaknajbardziej stanowczych przed ferowaniem wyroków śmierci na podsądnych. W wypadku, gdyby ten głos sumienia Francji został przez władców Kremla zlekceważony i spadłyby głowy oskarżonych, — Liga zrozumie te krwawe znaki jako wyzwanie, rzucone człowieczeństwu i wówczas rozpęta w kraju burzę moralną o takim nasileniu, że zmiecie ona i unicestwi sojusz francusko-sowiecki.

Naganka naszego rodzimego wstecznictwa na wszystko, co przeczy duchowi niewiadomszczyzny, nie ominęła i tej humanitarnej instytucji na gruncie polskim, która pod przewodnictwem znakomitego pisarza i żołnierza, Andrzeja Struga, strzegła przed pohańbieniem prawa moralnego człowieka. Ta oto Liga, wcześniej, bo już podczas pierwszego procesu moskiewskiego i na krótko przed swoim zamknięciem spełniła swój obowiązek, ogłaszając protest poniższy:

„Zarząd Główny Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela, głęboko wstrząśnięty ponurym dramatem, jaki władze sowieckie zgotowały swemu krajowi i całemu światu, stwierdza, że stracenie 16 opozycjonistów komunistycznych, skazanych w procesie moskiewskim, i warunki, w których toczył się proces, zapadł i został wykonany wyrok, urągają wszelkiemu poczuciu ludzkości.

Wszak wśród straconych znajdowali się ludzie, którzy w republice Sowietów piastowali najwyższe urzędy i przez lata całe byli przywódcami robotników rosyjskich. Większość skazanych była już unieszkodliwiona dla Rządu w chwili, kiedy mogły dojrzewać plany dalszych zamachów terorystycznych, nie urzeczywistnionych zresztą. Sam przebieg śledztwa pozostanie nazawsze tajemnicą, którą straceni zabrali ze sobą do grobu. Do wiadomości ogółu dotarły tylko przemówienia oskarżonych, dające obraz niesłychanego sponiewierania i upokorzenia człowieka.

Dajemy wyraz głębokiemu przeświadczeniu, że wyzwolenie ludzkości może i powinno być osiągnięte bez posługiwania się podobnymi metodami".

Siłę moralną, jaką demokracja w Polsce stanowi, mierzyć dziś trzeba siłą naporu, który w swym trudnym pochodzie przezwyciężać ona musi, aby pozostać w zgodzie z swoim powołaniem i ze swym sumieniem. Ten głos demokracji, potępiającej dziś praktyki moskiewskie, ma inną zgoła wymowę i inne brzmienie, niż faryzeuszowskie pomstowanie świętoszków spod znaku niewiadomszczyzny.

Gromiąc poniewieranie wartości duchowych człowieka przez obcych, gromi je demokracja z równym zapałem, odwagą i szczerością także na gruncie rodzimym, gdy tymczasem kohorty reakcji wzywające pomsty i miotające anatemę na głowy innych oprawców, w własnej ojczyźnie hańbią co dnia imię człowieczeństwa.

HENRYK LUKREC.

×

Zapadł wyrok w tym procesie: z pośród 21 oskarżonych, osiemnastu skazanych zostało na śmierć.

Potęga państwa — to zaufanie ludu

W dniu 7 marca r. b. na plenum Senatu przy dyskusji budżetowej, prof. Michałowicz wygłosił następujące przemówienie:

Wysoka Izbo! Wstrząs, który przeżyliśmy po śmierci wskrzesiciela Państwa Polskiego jest rzeczą naturalną. Historia podaje wiele przykładów, gdy naród pozbawiony wodza duchowego szuka w męce wyjścia z położenia, w który go losy dziejów wtrąciły. Dwie są po temu możliwości: znaleźć przewodnika nowego, lub iść o własnych siłach wysiłkiem zbiorowym.

„Dużo jest ludzi rozumnych ale mało mądrych", mówi stare przysłowie. Cóż dopiero, gdy mądrość ma być wsparta niezłomną siłą charakteru, odwagą decyzji, szeregiem talentów, umiejętnością pracy twórczej?

Stało się prawdą powszechną, że takich postaci, jak Józef Piłsudski, naród wydaje jedną na tysiąc lat. Niemożliwością tedy, byśmy byli narodem aż tak wybranym, by z ręki Opatrzności otrzymywać raz po raz mężów opatrznościowych.

Droga wysiłku zbiorowego.

Pozostaje nam tedy droga druga, normalna, aczkolwiek ciężka — droga wysiłku zbiorowego. A tam, gdzie musi działać zbiorowość, tam musi kierować pracą zbiorowości kodeks praw podstawowych. Wieków całych potrzeba, by narody swe kodeksy urobiły, w księgi życia państwowego zebrały, i jako konstytucję ogłosiły. Im prostsze są linie konstytucji, tym wyraźniejszy, tym łatwiejszy jest do nakreślenia plan życia państwowego na każdą chwilę. Konstytucja Państwa Polskiego z dnia 23 kwietnia 1935 r. jest prosta. W swej zasadniczej budowie jest ona trójkątem: na czele stawia władzę Prezydenta Rzeczypospolitej jednolitą i niepodzielną, poniżej — władzę wykonawczą rządu i władzę kontrolującą i ustawodawczą ciał parlamentarnych. Podpis własnoręczny Józefa Piłsudskiego na akcie Konstytucji kwietniowej świadczy, że innej drogi kroczenia po szlakach historii nie znalazł dla Państwa Polskiego. Zdawałoby się, że każdy obywatel, biorący udział w życiu państwowym, będzie miał przed oczyma tezy Konstytucji i będzie się nimi kierował.

Pogmatwanie pojęć.

Rzeczywistość zadała kłam nakazom naszego podstawowego prawa państwowego. Zamiast pójść drogą jasną, konstytucyjną — wkroczono na drogę mglistej koncepcji i brnięto w niej przez rok cały. Obok rządu, utworzonego, w drodze konstytucyjnej, powstała koncepcja wyciągająca rękę po władzę, starająca się zasugerować, iż ona jest władzą właściwą. Przez rok byliśmy świadkami nieprawdopodobnego pogmatwania pojęć. Artykuł 5 Konstytucji głosi, że twórczość *jednostki* jest dźwignią życia zbiorowego i że Państwo zapewnia obywatelom możność rozwoju ich wartości osobistych, oraz wolność sumienia, słowa i zrzeszeń. Wbrew zasadzie powyższej, zażądano od obywatela unieruchomienia jego myśli i zgleichszaltowania się pod ciśnieniem nakazu t. zw. organizacji nadrzędnej.

Bogactwo odmian — harmonia całości.

Wysoki Senacie! Ściany Izby w której obradujemy, są wzniesione z cegły, stropy oparte na belkach stalowych; wszystko spojone cementem i wapnem; ławy z drzewa; chodniki z wełny. Jakże różnorodny jest ów materiał, a pomimo to służy on *jednemu celowi;* układa się w pewną harmonijną całość budowy. Zażądajcie od stali, by przybrała miękkość wełny, od wełny, by nabrała hartu stali, od cegły by przeistoczyła się w wapno, a konstrukcja wzniesiona ulegnie destrukcji; będzie nie do użytku. Pozwólcie zachować obywatelom Państwa ich jaźń, bo na tym właśnie polega tajemnica świata, że z różnorodności jaźni powstaje harmonia całości.

Wypowiedziawszy swój negatywny stosunek do podstawowej zasady dzieła Twórcy Wszechświata, twórcy koncepcji nie zawahali się obalić zasady dzieła Twórcy Polski Współczesnej. I tu postąpiono w sposób nie mniej naiwny: pod patronatem osób wysoko postawionych mali młodzieniaszkowie w piśmie wydawanym za pieniądze publiczne odważyli się poklepywać protekcjonalnie po ramieniu Wielkiego Marszałka.

Z resztą zagadnień poszło jeszcze prościej. Obywatel Polski dowiedział się pewnego razu, że szef obozu, osoba bynajmniej Konstytucją Rzeczypospolitej nie przewidziana, wziął udział w posiedzeniu Rady Ministrów. Do publicznej wiadomości doszło, że podsekretarz stanu jednego z podstawowych resortów rządu reprezentuje nie całość rządu lecz pewną ograniczoną grupę obozu. Zamęt pogłębił się aż do urzędnika w cenzurze, aż do policjanta; funkcjonariusze państwowi zatracili orientację, czy mają się rządzić wieczystym nakazem praworządności i zdrowego rozsądku, czy głosem w telefonie chwilowego rozkazodawcy, z woli chwilowej koniunktury. W ten sposób powstały w Polsce stosunki, które jeden z mówców sejmowych określił dosadnym mianem Texasu.

Pan Premier Rządu osobistym przykładem i ofiarną pracą stara się naprawić fatalne skutki wymienionych stosunków. Ale żaden premier nie podoła tak olbrzymiemu zadaniu. Nie sposób bowiem rządzić w cieniu przygodnych nadpremierów i opierać ogrom pracy w Polsce o swe osobiste biuro. Trzeba zmienić system pracy, rozłożyć ciężar na głębokie rzędy sił pomocniczych.

Niespożyte siły Polski ludowej.

Czy mamy te siły pomocnicze? Śmiem twierdzić, że nie mamy ich zbyt dużo. Siła pomocnicza, to nie ciało ludzkie oparte ciężarem o krzesło przy biurku — to charakter. A tych charakterów w Polsce w t. zw. sferach dzierżących władzę — większą, mniejszą, maluczką — nie jest tak wiele. Odszedł jeden mąż opatrznościowy; pozostało dziesiątki tysięcy mężów nabacznościowych, ludzi krótkotrwałej koniunktury, człowieczków oczekujących na seryjną dekompozycję, której kolejno pragną ulec. Czy jest w Polsce aż tak źle? Czy tylko ci ludzie, o których mówiłem przed chwilą, stanowią o potędze Polski? Twierdzę, że nie. Cztery piąte ludności Państwa stanowią chłopi, robotnicy i inteligencja pracująca. Wykazali oni swą siłę twórczą. Huragan wojny światowej zniszczył $^{9}/_{10}$ Polski. Chłop, robotnik, inteligent pracujący odbudowali ją swymi rękami i swymi mózgami.

W roku 1920 groza zagłady zawisła nad Polską; chłop, robotnik, inteligent pracujący zasłonili ją swymi piersiami. Potężnej wymowy tych faktów nie zagłuszą żadne podszepty. Tak samo nie zagłuszą one głosu, który wzrastającym poszumem idzie po całej Polsce, głosu, który pyta, dlaczego tym, którzy Polskę zdobyli, którzy Polskę z ruiny podnieśli, piersiami zasłonili, powiedziano: — możecie odejść, i odebrano kartkę wyborczą. Silą się udowodnić koniunkturzyści, specjaliści od dekompozycji, że Polska ulega rozkładowi. Polska nie rozkłada się. Polska tężeje; staje się coraz bardziej zwarta: zjazdy P.P.S., zjazdy inteligencji pracującej, zjazdy Stronnictwa Ludowego stawiają na pierwszym miejscu wzmocnienie obronności Państwa; pragną potęgi Rzeczypospolitej.

Ordynacja wyborcza nie może przekreślać Konstytucji.

Ale potęga Rzeczypospolitej, to nie potęga grupy elitarnej, którą jeden z mówców sejmowych odważył się nazwać gettem wybrańców Potęga Rzeczypospolitej to zasada sprawiedliwości społecznej, to pierwszy artykuł Konstytucji kwietniowej, że „Państwo Polskie jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli". Nie można jedną ręką dawać Konstytucję, a drugą — taką ordynację wyborczą, która przekreśla w życiu codziennym pierwszy artykuł tejże Konstytucji.

Pan Marszałek Sejmu w przedmowie do Konstytucji kwietniowej chwali Anglików, nazywa ich wielkimi. Ale właśnie Anglicy, jeżeli są wielcy, to są nimi dlatego, że biorą na serio swą konstytucję i posługują się ordynacjami wyborczymi, które podstaw ich konstytucji nie przekreślają. Instrument ciał parlamentarnych, zbyteczny w ustrojach niewolniczych dawnych i obecnych, jest instrumentem twórczym, niezbędnym w życiu obywateli wolnych, których twórczość wedle artykułu 5 Konstytucji kwietniowej ma być „dźwignią życia zbiorowego".

Poza tym instrument parlamentu jest wentylem, przyrządem koniecznym w każdym zbiorniku sił, a więc i w zbiorniku sił Państwa. Usunąć wentyl, to popełnić czyn szaleńca. Tym bardziej, że zbiornik sił państwowych, o których mowa, w tej chwili, to kocioł maszyny państwowej w stałym pogotowiu, na każdą potrzebę w dzień i w nocy. Szary obywatel i premier mają prawo do snu, choćby krótkiego, kocioł maszyny państwowej musi być stale pod parą,

by w chwili potrzeby państwo złożyło egzamin. Termin jednego z tych egzaminów zbliża się coraz bardziej. Sytuacja międzynarodowa świata jest, jak wiadomo, bardzo napięta. Sytuacja wewnętrzna musi być do tego czasu w Polsce uregulowana; wentyl w kotle przywrócony. Ordynacja wyborcza elitarna zmieniona na powszechną.

Rok 1940 zbliża się z każdą chwilą. Trzeba wzrokiem jasnym spojrzeć tej chwili w oczy. Trzeba uporządkować zasadnicze stosunki Rzeczypospolitej.

SENATUS POPULUSQUE ROMANUS — było hasłem potężnym dla państwa rzymskiego, gdy było traktowane poważnie. Wzywam Senat, by oparł się na zaufaniu ludu polskiego.

Powiecie, żem romantyk. Ale romantykiem był wskrzesiciel Polski, romantykiem był także wieszcz, który naród potęgą ducha swego krzepił i jak pielgrzym przez długie niewoli prowadził. W roku 1848 przyszedł wieszcz do Papieża i wstrząsając jego ramieniem wołał: „Duch Boży jest dzisiaj w bluzach robotniczych ludu paryskiego".

Ja, zwykły sługa Rzeczypospolitej, mówię do Was: „Duch Boży Polski żyje w ofiarnych piersiach chłopów, w spracowanych dłoniach robotników, w mózgach inteligentów pracujących".

Natchnijmy duchem tym Polskę, a będzie potężna.

MIECZYSŁAW MICHAŁOWICZ
senator

Z DNIA NA DZIEŃ

DAREMNE USIŁOWANIA

Nie mogąc odmówić cnót i zasług wielkiemu pisarzowi i patriocie, reakcja próbuje przynajmniej odwiązać znakomite imię Andrzeja Struga od instytucji, której był chlubą i czynnym przewodniczącym, a zajadle od lat zwalczanej i zohydzanej przez czcicieli totalizmu.

Tygodnik „Czarno na białem" w ostrych słowach przygważdża te małoduszne i daremne usiłowania:

„Precz z rękami od świetlanej pamięci Struga! Kłamstwo, jak zawsze, ma krótkie nogi, Strug dobrowolnie stanął na czele humanitarnej organizacji Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela. W posiedzeniach Zarządu Głównego nie brał tylko udziału, kiedy zły stan zdrowia mu na to nie pozwalał. Zresztą posiedzenia zarządu odbywały się z reguły w mieszkaniu Struga i sam Strug im przewodniczył.

Musimy tu jak najgoręcej napiętnować tendencję do pomniejszenia Struga w oczach żyjącego społeczeństwa, zaprotestować przeciwko robocie, zmierzającej do przedstawienia wielkiego pisarza, jako niedołężnego, wodzonego na pasku, dekoracyjnego starca.

Ponieważ Andrzej Strug sam już przed podobną natrętną „obroną" bronić się nie może, poczuwamy się do obowiązku odparcia tego skrytobójczego ciosu, wymierzonego w pamięć Wielkiego Zmarłego."

Są istoty, które usiłują wdeptać w poniżenie ludzi będących wcieleniem pewnych idei. Jeżeli sam blask wielkiego imienia oślepia te twory i sadza na kolana, wówczas plują w górę, usiłując zresztą naprożno śliną dosięgnąć idee, których imię to jest godłem i chlubą.

„FORYTOWANIE LEWICY"

W „Robotniku" czytamy: „D. 7 b. m. odbył się wiec ONR pod hasłami walki z „żydokomuną". Okazją zwołania był czyn niepoczytalnego mordercy księdza Streicha — Nowaka jakoby (co jeszcze nie sprawdzone) działacza komunistycznego. Kogo ONR nazywa komuną—wiadomo — wszystko, co nie jest ONR-em, a więc i ZNP i Stronnictwo Ludowe, a przede wszystkim PPS. Na wiec zezwolenia udzielono, mimo, iż można było przewidywać, jakie będą rezultaty „manifestacji uczuć narodowych". I rezultaty były: bandy ludzi z „wyższym wykształceniem" wybijały szyby i demolowały sklepy w śródmieściu Warszawy.

„D. 10 b. m. miało się odbyć — jak dalej podaje „Robotnik" zebranie młodzieży akademickiej pod hasłami: Wolności nauki, obniżki opłat, spokoju na wyższych uczelniach i nauki dla mas. Wiec zwoływał ZNMS i Sekcja Młod. Klubu Demokratycznego pod protektoratem prof. prof. Hubera, Michałowicza i Szymanowskiego. Władze na wiec nie zezwoliły ze względu na „spokój, bezłódzkiego cmentarza bez szwanku".

Przy czytaniu takiej lakonicznej notatki dziennikarskiej przypomina się mimo woli słynne wystąpienie posła Ducha, który z trybuny sejmowej uskarżał się na prześladowanie przez rządy obecne prawicy a forytowanie lewicy. W tym samym duchu Ducha przemawiał we Lwowie endecki obrońca Doboszyńskiego, adw. Pozowski. Z patosem wołał do ławy przysięgłych, że gdyby Doboszyński był lewicowcem, już dawno znajdował by się na wolności, ale ponieważ jest „narodowcem", siedzi w więzieniu i jest sądzony.

Ucieleśniona wizja

„Nowy Głos" przynosi opis jeszcze jednego wypadku sprofanowania pogrzebu żydowskiego, co budzić musi obrzydzenie w każdym kulturalnym Polaku: „O godz. 5-ej po południu zbliżył się do Alei Cmentarnej kondukt pogrzebowy ze zwłokami b. p. Izraela Baumgartena, odprowadzanego przez liczne grono krewnych i znajomych. W pewnej chwili na orszak pogrzebowy posypały się kamienie od strony grupy młodzieńców, stojących na chodniku. Niektórzy z nich nosili korporanckie czapki. Wśród postępujących za karawanem osób powstał zrozumiały popłoch. Niektórzy rzucili się do ucieczki, inni próbowali wpłynąć uspokajająco na rozwydrzonych napastników, lecz nie odniosło to żadnego skutku. W końcu nawet najbliżsi członkowie rodziny zmarłego musieli ratować się ucieczką. Woźnica kłusem dojechał do cmentarza bez szwanku."

Kamienie rzucane na orszaki pogrzebowe i czapki studenckie stają się symbolem kultury obyczajowej pewnego odłamu naszej „inteligencji".

Sławny mistyk i pisarz rosyjski Mereżkowskij, żyjący dziś na wygnaniu, widział w swojej wyobraźni „nadchodzącego chama". Dziś może on poszczycić się trafnością swego przewidywania i doznawać smutnej satysfakcji, patrząc jak wizja się ucieleśniła w postaci „nadeszłego" chama z rejonów „odgórnych" i z cenzusem wykształcenia.

Ciężkie chmury nad palestrą

Przyjęty w Sejmie nowy projekt ustroju adwokatury wzbudził uzasadniony niepokój w sferach prawniczych i w całej opinii demokratycznej. Trzeba jednak stwierdzić, że prasa w swych artykułach i w wypowiedziach wybitnych przedstawicieli palestry zwróciła uwagę raczej na jedną stronę zagadnienia: podkreślono i dostatecznie wykazano niebezpieczeństwo, grożące niezależności zawodu adwokackiego w wypadku wprowadzenia w życie nowego ustroju adwokatury. Pod tym względem nie ma się co łudzić. Projekt przekreśla całkowicie samorząd zawodowy palestry. Oddaje zarówno jej życie korporacyjne, jak i dopływ nowych adeptów do zawodu pod niepodzielną władzę czynników administracyjnych.

Urzędnicza, zależna od ministra hierarchia mianowańców i podporządkowana jej faktycznie, stotalizowana biurokracja korporacyjna, złożona z „wybranych" (wiadomo!) pomocników — obejmie absolutne, niekontrolowane rządy w samorządzie adwokackim. Ona będzie decydowała, czy ktoś po latach studiów i głodowania może zostać adwokatem, czy nie. Zwłaszcza, że o dopuszczeniu do aplikacji będzie wpierw decydowała hierarchia sędziowska, również obca adwokackiemu samorządowi zawodowemu. A na szczycie całej drabiny minister...

Ale jest jeszcze druga, ważna strona zagadnienia. Przecież niezależność adwokata, to jeden z najistotniejszych czynników prawidłowego wymiaru sprawiedliwości. Nie dopuścimy się przesady twierdząc, że niezależność ta jest wogóle fundamentem samej sprawiedliwości, skoro rzeczywista sprawiedliwość polega na udzieleniu podsądnemu pełnej, nieograniczonej możności obrony, a więc i korzystania przy tej obronie z fachowej pomocy niezależnego od sądu i administracji prawnika. Tyczy się to zresztą nie tylko postępowania karnego, jak i cywilnego, administracyjnego i t. d. I jak w sprawach cywilnych i administracyjnych występują naprzeciw siebie dwie **równe** strony (chociażby jedną z nich był nawet skarb państwa, czy władza publiczna) — tak i w procesie karnym sprawiedliwość w całym świecie cywilizowanym widzi zawsze dwie **równe** strony: oskarżonego i oskarżyciela (chociażby w tej roli występował oskarżyciel publiczny). I w obu wypadkach strony działają wobec niezależnego a przez to naprawdę bezstronnego sądu. Ta równość stron i bezstronność sądu zabezpiecza dopiero rzeczywiście sprawiedliwość.

Pozbawienie adwokata niezależności niweczy zasadę równości stron, zwłaszcza wtedy, gdy jedną z nich jest skarb państwa, władza publiczna, lub oskarżyciel publiczny, fachowo wykształcony i doświadczony prawnik, **zależny** od swej władzy zwierzchniej. W tych wypadkach wystąpienie po przeciwnej stronie niezależnego adwokata może **do pewnego stopnia** przywrócić naruszoną równość stron i wzmocnić „siłę obronną" nie tylko klijenta, ale i samej... sprawiedliwości. Człowiek jest przecież omylny, a sędzia jest człowiekiem — i urzędnikiem!

I dlatego totalizacja adwokatury, upaństwowienie samorządu adwokackiego godzi nie tylko w zawodowe interesy palestry. Godzi w sam wymiar sprawiedliwości, w jego bezstronność. Godzi przeto w jedno z najbardziej podstawowych praw człowieka i obywatela.

„Duchowe rozbrajanie Polski"

Senator Śliwiński w dyskusji nad budżetem ministerstwa W.R. i O.P., podnosząc zagadnienie młodzieży na wyższych uczelniach stwierdził, że młodzież stwarza fakty dokonane. Są to zjawiska — mówił senator — wobec których społeczeństwo nie może przejść do porządku dziennego. Oto minister uznał za niemożliwe wprowadzenie getta ławkowego, a tymczasem młodzież „idąca od awantury do awantury postawiła na swoim", odnosząc zwycięstwo nad rządem, którego autorytet został zaangażowany przez osobę ministra oświaty.

W tej samej zaś dyskusji min. Świętosławski oświadczył, że jest inna jeszcze troska, która nas niepokoi: niepokoją nas mianowicie różnego rodzaju ekscesy i wybryki, które inaczej jak duchowym rozbrajaniem Polski nazwać nie można. Niepokoją nas te objawy tym bardziej — mówił minister oświaty — że nie wyczuwamy w społeczeństwie takiej postawy i tak silnej reakcji, któraby zdecydowanie postawiła tamę tym wszystkim ekscesom.

Osobliwość tedy sytuacji bije w oczy tym, że społeczeństwo, nie mające władzy ogląda się na rząd, rząd zaś ogląda się na społeczeństwo, oczekując od niego „zdecydowanego postawienia tamy ekscesom". Wartoby więc wreszcie ustalić i rozdać role, bo czas nagli, gdyż postępuje „duchowe rozbrajanie" Polski.

Recepta na przeciwtruciznę

W poprzednim numerze „Epoki" przytoczyliśmy kilka ustępów z przemówienia kanclerza Hitlera, z których wynika, że istniejąca w krajach demokratycznych wolność prasy stanowi „najgroźniejsze niebezpieczeństwo dla pokoju europejskiego". Prasa demokratyczna zagraża wprost bezpieczeństwu Trzeciej Rzeszy, w której „rząd nie pozwala dziennikom na żadne podżegania przeciw krajom demokratycznym". Jak donosi „Robotnik", sprawa ta poruszona została nie dawno na przyjęciu, wydanym przez Alfreda Rosenberga dla korpusu dyplomatycznego i prasy zagranicznej. Szef biura prasowego dr. Dietrich wygłosił referat o polityce prasowej rządu niemieckiego, przy czym oświadczył (cytujemy za „Robotnikiem").

„Jeżeli pragnie się naprawdę oddać usługę pokojowi europejskiemu, to należy zabronić nie tylko używania gazów trujących w czasie wojny, lecz również **wyeliminować prasę tendencyjną**, która w okresie pokoju jest tak niebezpieczna dla egzystencji narodów". W dalszym ciągu dr. Dietrich zaznaczył, iż **Niemcy i Włochy przez swe ustawodawstwo prasowe stworzyły przesłanki dla takiego pokoju (?) i wskazały drogę, na którą należy wejść, aby uleczyć od zatrucia atmosferę polityki międzynarodowej (?).**

W przyjęciu wziął m. in. udział ambasador polski p. Lipski".

W tym samym numerze „Robotnik" omawia artykuł p. Smogorzewskiego, który na łamach „Gazety Polskiej" stwierdził, że na odcinku stosunków polsko-niemieckich rozbrojenie moralne poczyniło już znaczne postępy — tak dalece, że **„dorobek minionych lat czterech jest już wzorem dla Europy".** Oczywiście daleko jeszcze do ideału, trzeba tedy dalej wytrwale kroczyć po tej drodze. Tyle p. Smogorzewski.

Nawiązując do jego wywodów „Robotnik" przedstawia krótki, ale treściwy bilans dotychczasowych wyników rozbrojenia moralnego między Polską i Niemcami:

„...p. Smogorzewski niewątpliwie wie, że Polska osłoniła Hitlerię od Wschodu i dała jej możność swobodnego zbrojenia się i rozgrywania swych gier na południu (Austria i Czechosłowacja) i na zachodzie. Na razie Polska jest potrzebna... Ale co będzie dalej? I co z tego ma Polska — poza utratą ważnej pozycji w Gdańsku? Krótko mówiąc, nie w „moralnym odprężeniu" sęk, bo **nikt** w Polsce agresywnych zamiarów względem Niemiec nie żywi, lecz w obiektywnej sytuacji w Europie i w planach Hitlerii. Nie dajmy się **uśpić frazesom!".**

Największe oszustwo stulecia

Propaganda faszinternu zdecydowała się rzucić na szalę wydarzeń hasło „krucjaty". Hasło głoszące, jakoby linię podziału stanowiły za Pirenejami przekonania religijne, żarliwa nabożność i oziębłe bezbożnictwo. Z Kościołem, czy przeciw Kościołowi — oto jaki dylemat stanął rzekomo przed każdym Hiszpanem w momencie krwawej rozgrywki.

Ale rzeczywistość najtrafniej, jak zawsze, zdementowała fałsz takiego stawiania sprawy.

Arcykatolicki naród Basków znalazł się u boku tych, co walczyli o prawa człowieka i obywatela, o ziemię dla chłopów, o reformy socjalne. Nie uwiodła najwierniejszych synów Kościoła proklerykalna obłuda faszystowskiej propagandy.

A w ślad za tym niezmiernie doniosłym i symptomatycznym faktem posypały się głosy ostrzeżenia — i oburzenia nawet. Intelektualiści katoliccy — jedni mniej, drudzy bardziej zdecydowanie — zaczęli protestować przeciw łączeniu sprawy Kościoła ze sprawą faszystowskiej rebelii.

Niektórzy, jak José Bergamin czy Iouis Martin-Chauffier, opowiedzieli się wręcz po stronie Rządu Ludowego. Większość jednak przeciwstawiła się przede wszystkim temu morzu okrucieństw, jakim zalał Hiszpanię rebeliancki terror. Protestował François Mauriac przeciw rzezi, urządzonej przez faszystów na arenie „corridy" w Badajoz. Marc Sagnier, przywódca francuskiej młodzieży katolickiej, oświadczał, że nazywanie buntu gen. Franco „krucjatą" jest „największym oszustwem stulecia". Znany szeroko w swej ojczyźnie katolik hiszpański, José Maria Semprun y Gurrea (były profesor prawa handlowego na uniwersytecie w Madrycie, były gubernator Santanderu i Toleda), wołał: „Nie! Ani katolicy, ani ludzie Kościoła, ani władze kościelne w Hiszpanii nie mają racyj ni motywów dostatecznych, aby stanąć u boku rewolty tak bezprawnej i tak przerażająco morderczej!".*) Emmanuel Mounier, czołowa postać intelektualizmu katolickiego, redaktor świetnego „przeglądu międzynarodowego", „Esprit", udzielał łamów swego czasopisma tym, którzy nie lękali się mówić prawdy o juncie w Burgos i jej krwawych wyczynach.

Cały szereg periodyków katolickich zajął podobne stanowisko. Organ Dominikanów angielskich „Blackfriars", oświadczał, że jest „głęboko nie po chrześcijańsku zajmować stanowisko po stronie powstańców i odmawiać swej sympatii tym, którzy im się sprzeciwiają, ponieważ sądzą — i to słusznie — że stoją w obliczu okrutnej, reakcyjnej tyranii". Specjalny wysłannik paryskiej „La Croix" dawał świadectwo prawdzie, pisząc o mordowaniu jeńców wojennych przez faszystów. Austriacka „Christiche Ständestaat" publikowała doskonały artykuł, omawiający ekonomiczne pobudki wybuchu powstania oraz rolę, jaka tu odegrał najbogatszy człowiek Hiszpanii, Juan March.

Najsilniej jednak wstrząsnęło sumieniami katolików zniszczenie przez włoskie i niemieckie bombowce dwu miast, otoczonych w kraju Basków szczególnym kultem: Durango i Guerniki. Faszystowscy lotnicy nie oszczędzili sobie przy tym, jak wiadomo, przyjemności strzelania z karabinów maszynowych do uciekającej ludności cywilnej, kobiet i dzieci. W związku z tym Georges Bidault pisał w „L'Aube" z 30 kwietnia ub. r.:

„Krzyżowiec nie jest mordercą dzieci. Wielka sprawa nie posługuje się takimi zbrodniami. Wstręt i oburzenie świata cywilizowanego odpowiedziały... na śmieszne zaprzeczenia, którymi usiłowano zmienić opinię o odrażającym wyczynie. Co do nas, w obliczu tej krwawej hańby jesteśmy pewni, że odpowiadamy myśli chrześcijan, powtarzając wielkim głosem dla nas i dla naszych braci słowa psalmisty: discerne causam meam a gente non sancta"...**)

Wówczas to przedstawiciele katolickiej elity intelektualnej wydali zbiorową odezwę, stwierdzającą, że „nic nie usprawiedliwia, nic nie tłumaczy bombardowania miast nieobronnych, takich jak Guernika". Pod odezwą znalazły się podpisy: Mauriac'a, Maritain'a, Mounier'a, nieubłaganego antyfaszysty, byłego przywódcy włoskich „Popolari", księdza Luigi Sturzo, oraz kilkudziesięciu innych. Jednocześnie Jacques Madaule poprzedzał gorącym wstępem broszurę dokumentarną p. t. „La destruction de Guernica". A pod honorowym przewodnictwem kardynała Verdier'a i arcybiskupa Bordeaux, Feltin'a, organizował się w Paryżu „Narodowy Komitet Katolicki Przyjęcia Basków".***) Tragedia starożytnego, nielicznego narodu, zdawała się naprawdę otwierać oczy katolickiemu światu...

I nagle opublikowany został słynny list czterdziestu trzech biskupów hiszpańskich.

Autorzy tego doniosłego dokumentu zdecydowanie i otwarcie opowiadali się po stronie rebelii. Potępiali Basków za ich braterstwo broni z ludem Hiszpanii i Katalonii. Usprawiedliwiali sprawców wojny domowej, dowodząc, że jest ona... „rodzajem zbrojnego plebiscytu". Twierdzili, że „ekscesy" nacjonalistów wypływały z błędu, lub były rezultatem podoficerskich wybryków — natomiast „okrucieństwa" Frontu Ludowego stanowiły cel w sobie („zabijanie dla zabijania, niszczenie dla niszczenia"...).

„A co nas zasmuca najbardziej — pisali biskupi — to widok dużej części (bonne partie) katolickiej prasy zagranicznej, ulegającej temu zboczeniu umysłowemu (frontowo-ludowemu — przyp. autora), które może być nieszczęsne dla najświętszych interesów, o jakie toczy się gra w naszej ojczyźnie".

To cenne wyznanie episkopatu hiszpańskiego potwierdzało niedwuznacznie fakt, że wzdłuż obozu katolickiego zaczęła biec coraz głębsza i coraz widoczniejsza rysa. Frazeologia apostołów „krucjaty" nie wszędzie trafiła na grunt podatny. Niezaprzeczalne fakty budziły minimum krytycyzmu. „...Duża (grande partie) część opinii katolickiej wzbrania się pójść drogą, którą wskazują siły reakcji, broniące swych przywilejów" — pisał cytowany już wyżej organ Dominikanów angielskich.

Ale najwyższe czynniki kościelne postanowiły zlikwidować te zasadnicze różnice zdań w sprawie,

---

*) „La question d'Espagne inconnue", Paris, Comité Franco-Espagnol, str. 13.

**) „Strzeż, Panie, sprawy mojej przed ludźmi występnymi!".

***) Le Comité National Catholique d'Accueil aux Basques.

która zresztą świat cały podzieliła na dwa obozy. I to zlikwidować radykalnie. Przy użyciu brutalnych, mechanicznych środków.

Feodałowie w infułach poparli feodałów w szlifach. A tym spośród swej „owczarni", którzy nie chcieli dreptać w pokorze reakcyjną ścieżką — narzucili kaganiec milczenia.

Zlikwidowano świetny tygodnik „Sept".

Grupowały się w okół tego czasopisma najtęższe mózgi i najlepsze pióra francuskiego katolicyzmu. Pisali tu: Claudel, Bernanos, Mauriac, Maritain, Gilson, Goyau, Daniel-Rops, Scherer. W ciągu przeszło trzyletniego istnienia zdobył „Sept" rozgłos światowy. Reprezentował najśmielszy kierunek współczesnej myśli katolickiej, a jego obiektywizmowi oddawali często sprawiedliwość nawet przeciwnicy. Nic dziwnego, że Leon Blum, który nie udziela nigdy wywiadów poszczególnym pismom, zrobił wyjątek dla „Sept'u". Jako premier rządu Frontu Ludowego wyjaśnił on wówczas, że dążenia tego Frontu nie stoją w sprzeczności ze społeczną nauką Kościoła.

Dlaczego zamknięto „Sept"? Tłumaczeniom o „własnej inicjatywie" redakcji, lub o trudnościach finansowych — nikt nie da wiary. Czasopismo rozwijało się świetnie i właśnie na krótko przed zamknięciem powiększyło swoje rozmiary. Jedna doraźna subskrypcja sympatyków przyniosła przecież „Sept'owi" trzysta tysięcy franków. Prawdopodobniejsze wydają się informacje, stwierdzające, że likwidacji doskonale redagowanego tygodnika dokonano w rezultacie osobistej interwencji kardynała Pacellego, który podczas swej paryskiej wizyty miał wywrzeć odpowiednie naciski.

Przez wydanie wyroku na „Sept", wydano wyrok i na jego współpracowników. Stwierdza to nawet paryski korespondent jezuickiego „Przeglądu Powszechnego". Nie szczędzi on zresztą uszczypliwości, zarzutów i potępień pod adresem nieboszczyka. Dają się one sprowadzić do jednego: „Sept" opanowany został przez „lewicowców". Ostateczną zaś przyczyną upadku tygodnika było — stwierdza dr. F(orst?) B(attaglia?) — „niefortunne stanowisko w sprawie hiszpańskiej".

„Niefortunność" ta polegała na niechętnym ustosunkowaniu się współpracowników „Sept'u" do prób aktywnego zaangażowania Kościoła po stronie gen. Franco. Chcieli oni ratować jedność katolicką przez odgrodzenie się od obu stron walczących w Hiszpanii. Nie rozumieli całej utopijności tego rodzaju postawy. Zostali bezceremonialnie zmuszeni do milczenia. Mimo, że z doktrynentnego punktu widzenia nie można im było zarzucić tego, co dało się np. imputować wpisanej w lipcu 1936 r. do indeksu „Terre Nouvelle", organowi „chrześcijan-rewolucjonistów"!

Jedność katolicka! Jakże paradoksalnie wygląda fakt, że jeden z ostatnich numerów „Sept'u" był całkowicie temu zagadnieniu poświęcony!

Linia hiszpańskiego frontu dzieli świat na dwa obozy. Przebiega ona coraz głębszą bruzdą i po przez środowiska wierzących katolików. Nikt nie znajdzie na to rady. Nie wszyscy katolicy dadzą się wprząc w wojenny rydwan faszyzmu tak, jak to uczynili hiszpańscy biskupi.

Nie ukorzyli się bohaterscy Baskowie. Czekają chwili, kiedy znów będą mogli rzucić swe bataliony przeciw najeźdźcy, który odmawia im prawa do samodzielnego, narodowego bytu. Nie zginęła jeszcze Biskania!

A nie zgasła też — i nigdy nie zgaśnie! — wolna, śmiała, bezkompromisowa myśl ludzka, którą przez tyle już wieków dławiono tłumikiem zakazów, cenzur, werdyktów i inkwizycyj...

ZYGMUNT JAROSZ

Zagrożona niezawisłość obrońcy

„...walcząc o wolność słowa i niezależność stanu, palestra nie dąży do przywilejów osobistych i realizacji jakichś własnych celów; palestra ma jedynie na celu utrzymanie warunków, gwarantujących możność skutecznego wypełnienia swego ciężkiego obowiązku w imię dobra publicznego".

(Marian Niedzielski — adwokat — Palestra — 1931).

Nie wiem, czy w dniu, w którym artykuł niniejszy ukaże się na łamach Epoki — reforma prawa o ustroju adwokatury — nie będzie już prawem powszechnie obowiązującym, czy adwokat — rzecznik interesu społecznego — nie będzie już zamaskowanym urzędnikiem, działającym w myśl dezyderatów, określonych ad hoc przez Ministerstwo Sprawiedliwości, zgodnie z każdorazową koniunkturą polityczną.

Adwokat to nie tylko tytuł zawodowy, to również, a bodaj że przede wszystkim, tytuł socjalny. Przez kancelarię obrończą, choćby nawet najskromniejszą, płynie rwący strumień życia społecznego, politycznego, gospodarczego. Tu w ciszy, poza murem tajemnicy zawodowej, występują na światło dzienne najskrytsze nieraz myśli — tu uwalniają się z wszelkich osłonek największe krzywdy ludzkie, marzenia, nieopanowane żądze. Tu w sprawach cywilnych, czy też karnych, ludzie przychodzą prosić o obronę, oddają się zupełnie w ręce jednostki, która ma im zapewnić pomoc życiową, zrozumienie. Adwokat, godny tego szczytnego miana, musi być nie tylko zręcznym prawnikiem, operującym literą ustawy, musi być psychologiem, socjologiem, lekarzem — musi być przede wszystkim — C z ł o w i e k i e m! Człowiekiem wolnym, niezależnym od wszelkich ubocznych wpływów.

Zrozumienie socjalnego posłannictwa palestry wrosło głęboko w psychikę jej przedstawicieli zachodnio-europejskich. Ferdynand Paeyn, b. dziekan Rady Adwokackiej w Paryżu w swej książce pt. „O powołaniu adwokatury i sztuce obrończej" (Wydawnictwo Biblioteki Powszechnej, polskie tłumaczenie adwokata Ruffa) — dał tego wyraz najlepszy pisząc: „...nie ma zawodu, któryby bardziej, niż nasz, tak bardzo jak nasz, troszczył się o wartości moralne. Nie ma zawodu, któryby zakreślał tak dalekie granice obowiązku, stawiał tyle i tak surowych wymagań swoim członkom i z taką karcił ich bezwzględnością" — i dalej — „...zachowajmy świadomość naszej wartości — wartości zawodu, który uparcie odrzuca wszelką najemną uległość, wszelką chciwość pieniądza, aby zachować nietykalny o tyle, o ile jest to możliwe na tym mizernym świecie, swój przekazany tradycją ideał niezależności i bezinteresowności".

Adwokat winien zgodnie ze swym sumieniem bronić każdego, bez względu na jego stanowisko społeczne, narodowość, religię — przekonania polityczne. Każdy, w którego niewinność wierzy, lub którego działaniom przestępnym przypisuje okoliczności łagodzące — jest godzien jego pomocy, życzliwej obrony.

Ale, by członek palestry mógł w pełni rozwinąć — dla dobra społeczeństwa — swe wartości moralne i naukowe, musi się on czuć, i być rzeczywiście, człowiekiem wolnym, niezależnym od jakiegokolwiek wpływu administracji, wpływu, który niejednokrotnie kieruje się doraźnym interesem politycznym.

„...broniąc uprawnionych interesów jednostki, adwokat musi mieć tego rodzaju ogólne i psychiczne warunki swej pracy, żeby mógł się czuć — w granicach prawnie wykonywanych przez siebie swych obowiązków i zadań społecznych, bojownikiem o prawo niezawisłym i znajdującym w pełni oparcie o swe samorządowe organy korporacyjne" — pisał — w 1931 r. na łamach „Palestry" dzisiejszy dziekan Rady Adwokackiej w Warszawie — Stefan Urbanowicz.

W tym czasie przypuszczono pierwszy, jakżeż jeszcze łagodny szturm na niezawisłość adwokatury! I posypały się protesty. Adwokaci Sokołowski, Urbanowicz, Niedzielski, Sterling, Nowodworski — rzucili swe słowa potępienia. „Wierzyliśmy zawsze — pisał adwokat Kazimierz Sterling — że zawód adwokata jest szczytny. Wierzyliśmy, że adwokatura — to czynnik pomocny przy wymiarze sprawiedliwości; adwokatura — to współtwórczyni w walce o prawo, torująca nieraz nowe drogi jurisprudencji, wnosząca światło do ciemnych labiryntów zagadnień ustawowych; adwokatura — to bojownica o dobro ludzkie, zagrożone częstokroć przez nienawiść, zemstę, potwarz i chęć zysku... Adwokatura w końcu — to wielka siła narodowa, mocna i niezłomna w walce o Polskę, o lepsze dla niej jutro!"

Tak myślał adwokat Sterling — a z nim zastępy całe nie tylko adwokatów. Lecz ich myśli — nie znalazły posłuchu wśród kierowników naszej administracji. Wzory zaczerpnięte z państw totalnych stały się podstawą nowych „osiągnięć" naszego ustawodawstwa. A więc projekt zniesienia sądów przysięgłych, a więc zamierzona reforma Kodeksu Postępowania Karnego — z dopuszczeniem reformacio in peius, a więc ustawa o więziennictwie — a wreszcie debatowany obecnie (a może już uchwalony?) projekt reformy ustroju adwokatury.

„Adwokatura zawsze przywiązywała wielką wagę do wyboru swoich kierowników" — pisze Ferdynand Payen. Projekt rządowy z wyboru władz korporacyjnych czyni fikcję. Władze te złożone z nominatów i ludzi o odpowiednim obliczu politycznym, staną się giętkim narzędziem w rękach tych, którzy aktualną polityką będą kierować. Ale nie dość tego — reformatorzy są dalekowzroczni. Nie dość jest opanować władze korporacyjne — trzeba zgleichszaltować ogół społeczeństwa adwokackiego, trzeba uzyskać wpływ na młodzież prawniczą. Dostęp do adwokatury stanie się możliwy tylko po przejściu szeregu prób ogniowych z aplikacją sądową na czele. O tym kto może być w Polsce członkiem palestry, decydować będzie stan urzędniczy, który ustawowo co prawda jest niezawisły.

Nie tu miejsce dla dokładnego omówienia tych wszystkich sposobów, które zabezpiecza sobie projekt reformy ustroju adwokatury, by w sposób bezwzględny i autorytatywny wpływać na życie „wolnego" zawodu adwokackiego. Adwokat stanie się urzędnikiem, posłusznym wszelkim nakazom z góry.

Napoleon powiedział kiedyś brutalnie: „Chcę, żeby można było obcinać języki adwokatom, ilekroć używać ich będą przeciwko rządowi". Ale dziś — wystarczy je „zgleichszaltować".

RUDOLF LESSEL

Gorzki chleb i cierpkie wino

Kiedy przed kilku laty w jednym z wydawnictw emigracyjnych w Szwajcarii ukazała się powieść młodego emigranta włoskiego p. t. „Fontamara", w krótkim czasie została przełożona na 15 języków. Autorem jej był Ignazio Silone, inteligent, pochodzący ze sfery najbiedniejszych chłopów włoskich, t. zw. *cafoni*, dziś noszących z łaski rządu faszystowskiego „piękniejszą", maskującą przyrosłe do niej piętno nędzy, oficjalną nazwę *rurali* (włościanie).

Fontamara — to zmyślona nazwa nędznej rodzinnej wioski autora, położonej w Apeninach. Powieść łączyła w sobie element reporterski, opisując autentyczne wydarzenia w tym zakątku Włoch w roku 1929, z artystycznymi elementami eposu. I słusznie pisał o niej zmarły, znakomity powieściopisarz niemiecki, Jakób Wasserman: „Ponura i wstrząsająca książka. Pełna homeryckiej prostoty i wspaniałości, dzięki czemu element dziennikarski nabiera powszechnego, nader ważnego dla współczesności znaczenia".

„Chleb i wino",*) choć rozgrywa się na tym samym tle, w Rzymie i w ubogiej wsi, odbiega znacznie od debiutu Ignazia Silone, wykazując obok pełnej dojrzałości artystycznej, której mimo świetnych epizodów, w Fontamarze jeszcze nie było, pogłębienie psychologiczne typów, i — co najważniejsze — powstanie w duszy bohatera powieści problemów wewnętrznych, rozszerzających horyzont ideowy książki. Młodzieńczy impet debiutu przeobraził się tutaj w męskie wejrzenie nie tylko w mroki, lecz i w jaźnię dusz ludzkich, która zachować się może w każdym ustroju politycznym, bo żadna przemoc jej źródła zasypać nie zdoła.

Ta dojrzałość duchowa autora sprawiła, że na pierwszy plan powieści — aczkolwiek nie gra w akcji dominującej roli — wysunęła się piękna postać, z wyraźną miłością przez pisarza traktowana, starego, wykształconego księdza, don Benedetta, dawnego profesora Pietra Spiny, bohatera „Chleba i wina", który, party żądzą czynu, potajemnie wraca z emigracji do swych rodzinnych stron, by krzepić na duchu ciemnych, uciemiężonych i zrezygnowanych braci. Ksiądz Benedetto, miłośnik kwiatów, klasyków starożytnych, a wraz wyznawca bezkompromisowego, czystego chrześcijaństwa, napatrzył się takich rzeczy w swej ojczyźnie od czasów „marszu na Rzym", że spotkawszy po latach dawnego ukochanego ucznia, nie tylko mu nie wyrzuca — jak to czynił dawniej — jego przekonań socjalistycznych, lecz mając lat 75, przyznaje mu słuszność. Ale ściany mają uszy, nawet w zapadłej górskiej wiosce. I starzec-humanista, choć emeryt, nie pełniący już żadnych funkcyj ani

*) *Ignazio Silone:* „Chleb i wino". Warszawa 1937. Tow. Wydawnicze „Rój".

w szkolnictwie, ani w duszpasterstwie, przypłaca życiem swą wiarę w wartości, nie mające już kursu w „czasach pogardy". Zwabiony do sąsiedniej parafii dla odprawienia mszy w zastępstwie chorego proboszcza, pada przy ołtarzu, otruty winem. Oczywiście, milicja faszystowska sprawcy zbrodni nie odnalazła; zresztą, dla uniknięcia kramu, nie dopuszczono do zrobienia sekcji. Ks. Benedetto umarł protokularnie na anewryzm serca, i na tym się skończyło.

W Rzymie Pietro Spina nawiązuje kontakty z dawnymi towarzyszami — co dało autorowi możność odmalowania w przejmujący sposób podziemnego rewolucyjnego życia dzisiejszych Włoch. Na wsi, wśród swoich, do fałszywego nazwiska Spada, którego używa po tajemnym powrocie do kraju, dodaje przebranie księdza. Sterroryzowani przez władze „swoi" nie są pewni. Silone do rozterki na tym tle, z przenikliwością psychologa i artysty, któremu obca jest doktrynerska ciasnota spojrzenia na człowieka, wplótł inną jeszcze ludzką rozterkę w duszy tego rewolucjonisty: Spina przekonywa się, że jego kochanka, wiejska dziewczyna, Bianca, którą wyprawia do Rzymu, żeby tam zrobiono z niej „człowieka", ewentualnie „towarzyszkę", żądna łatwego życia, znalazła rychło ujście dla swych aspiracyj w domu publicznym. Po tym moralnym prysznicu w duszy Piotra rozkwita kiełkująca lecz tajona miłość do hołdującej „przesądom", wierzącej katoliczki, Krystyny, dziewczyny ze zbiedniałej, niegdyś zamożnej rodziny szlacheckiej. Krystyna pielęgnuje go, gdy leży w oberży, powalony przez krwotok gruźliczy.

Wytropiony i zdradzony prawdopodobnie przez jej brata, swego szkolnego kolegę, dziś oficera milicji, zrzuca sutannę, zostawia dziewczynie swój krótki pamiętnik miłosny i w mroźny wieczór, w lekkim ubraniu, ucieka w góry, w stronę granicy. Krystyna z węzełkiem (ciepła odzież, chleb i wino) puszcza się za zbiegiem krótszą, ale bardziej dziką drogą, przez śniegi. Wyczerpana walką z zawieją, na swe rozpaczliwe wołanie „Spina! Spina", słyszy wreszcie na przełęczy straszliwą odpowiedź: wycie wilka, zwołującego towarzyszów na ucztę. Widzi bestię, jak szybko się zbliża. „W oddali zjawiają się inne. Wówczas Krystyna klęka, zamyka oczy i robi znak krzyża".

Tym sugestyjnie tragicznym obrazem kończy Silone powieść o chlebie i winie w dzisiejszej Italii.

Dynamika dramatyczna, nasycająca i dyskretnie traktowany element miłosny utworu, przenika silnym prądem wszystkie partie książki, zarówno indywidualne kolizje osób działających (w czynach i w rozmowach), jak sceny zbiorowe. Wśród nich niezapomniane wrażenie jakiejś koszmarnej gromadnej hipnozy wywołuje wspaniale odmalowana „manifestacja patriotyczna" chłopskiej biedoty w dniu ogłoszenia wojny z Abisynią. W operowaniu tłumem w ramach życia *cafonich* Silone jest majstrem. Dowiódł tego już w „Fontamarze".

Ale poza wybitną wartością artystyczną „Chleb i wino" jest dokumentem epoki. Odzwierciadlenie kryzysu duchowego Silone — Spiny wysuwa w tej książce takie zagadnienia, jak stosunek walczącego człowieka i organizacji polityczno-społecznej do tych, którzy jej się powierzają; jak sprawę uzgadniania metod w dążeniu do ideałów z samymi ideałami — że wymienimy te tylko, które najwięcej budzą refleksyj.

Podkreślić wreszcie należy staranny, żywy przekład Stefana Pomiana. Kilka drobnych niedociągnięć na czterystu blisko stronach powieści nie może osłabić tego dodatniego wrażenia.

WACŁAW ROGOWICZ

GŁOS MAJĄ MŁODZI

Sekcja Młodych Klubu Demokratycznego

Dążenie do oparcia wysiłków wszystkich czynnych demokratów o wspólną organizację jest jednym z powodów licznego udziału młodzieży w Klubie Demokratycznym. Młodzież pragnie przy tym dopełnić doświadczeniem ludzi starszych wnoszone przez siebie wartości. Obawiając się na ogół bezwładu i oportunizmu, jaki często wynika z współpracy ze starszym pokoleniem, znajdują w tym wypadku zdecydowaną negację obu odstraszających wad. Negacją tą jest samo utworzenie Klubu Demokratycznego w zestawieniu z całokształtem dzisiejszych stosunków społeczno - politycznych.

Są jednak sprawy, które dla starszego pokolenia demokratycznego stanowią jedynie fragmenty zagadnień ogólniejszej natury, natomiast dla młodych przedstawiają zadania, wymagające rozpatrzenia i rozstrzygnięcia z całą szczegółowością. Dobitnych przykładów dostarcza rozjątrzony teren akademicki. Potrzeba jest dlatego organizacja, która bierze na siebie ciężar takich spraw nie obarczając nimi całości Klubu.

Te dwa względy zdecydowały o utworzeniu Sekcji Młodych Klubu Demokratycznego.

Jednym z głównych zadań Sekcji jest wychowanie młodych obywateli, posiadających pełne zrozumienie podstaw i celów demokracji, którzy mogliby skutecznie rozpowszechniać demokratyczne idee, zwłaszcza wśród młodego społeczeństwa. Zadanie to stało się bardzo pilne wobec toczącego się procesu faszyzacji.

Jest rzeczą zrozumiałą, że powszechnie odczuwane, dokuczliwe wady stosunków społecznych i politycznych powodują gorączkowość w poszukiwaniu środków zaradczych. Gorączkowość skolei pociąga za sobą łatwość przyswajania gotowych wzorów i ulegania dyrektywom, mającym pozory koncepcji zwartych i konsekwentnych w budowie. Zrozumiałą jest również obawa przyznania samemu sobie, że przyswojony wzór okazuje się zły. Wtedy bowiem trzeba na nowo przedsiębrać pracę szukania wzoru właściwego, a perspektywa poprawy sytuacji zaciemnia się. Z łatwością przeto odwraca się oczy od wszelkich skaz wyznawanej koncepcji, skaz, które grożą nieuchronnie ruiną w przyszłości. Z równą łatwością wyolbrzymia się płynące z koncepcji doraźne korzyści, tymbardziej, że doraźne okropności godzą jedynie w osoby trzecie. Tak w formie ogólnej i w słowach oględnych przedstawia się proces rozwojowy panoszącego się dziś barbarzyństwa.

Temu procesowi Sekcja przeciwstawia na t. zw. „odcinku młodzieżowym" działalność, będącą stopniowym realizowaniem ideologii Klubu. Jest to ideologia pracującej inteli-

gencji, dążącej do współdziałania z chłopem i robotnikiem na zasadach demokratycznych w państwie, będącym wspólnym dobrem wszystkich obywateli, ideologia oparta na przekonaniu, że w państwie wielomniejszościowym, jakim jest Polska, tylko taka może być podstawa bezpieczeństwa i dobrobytu.

Uświadomiwszy to sobie, Sekcja przeprowadza metodyczną analizę zagadnień ideologiczno - politycznych i społeczno - gospodarczych. Praca ta odbywa się pod doświadczonym i fachowym kierownictwem naukowym w dwuch specjalnie do tego celu zorganizowanych seminariach. Sekcja urządza poza tym odczyty, zebrania dyskusyjne i inne imprezy, które się pomnażają i urozmaicają w miarę rozrostu organizacji. To wszystko w połączeniu z imprezami ogólno - klubowymi tworzy z niej żywy ośrodek myśli demokratycznej.

Popularyzacja tej myśli odbywa się wszelkimi godziwymi środkami, jakie okoliczności nasuną, przede wszystkim zaś zapomocą słowa żywego i drukowanego, przez urządzanie zebrań o charakterze informacyjno - propagandowym oraz przez popieranie prasy demokratycznej i zabieranie głosu na łamach czasopism zaprzyjaźnionych.

W ślad za popularyzacją idzie organizowanie młodych sympatyków demokracji. Służą do tego celu mniejsze jednostki organizacyjne, mające strukturę bardzo prostą, silnie związane z rodzajem pracy i jednoczące się w Sekcji. Dzięki nim każdy przystępuje do pracy tam, gdzie będzie mógł działać najskuteczniej.

Sekcja Młodych Klubu Demokratycznego nie jest organizacją wyłącznie akademicką, jednakże teren akademicki stawia jej najbliższe zadania. Ciągle powtarzają się zaburzenia toku studiów, wynikające bądź wskutek wygórowanych opłat, bądź wobec niesprawiedliwego podziału stypendiów i praktyk, bądź — co najdokuczliwsze — na tle nacjonalistyczno - rasistowskim.

Postulaty młodzieży nacjonalistycznej, nie do przyjęcia nawet w formie złagodzonej, stanowią dziś wierną kopię najostrzejszych obcych wzorów. Getto ławkowe już nie wystarcza. Na uczelniach pojawiły się ulotki, zapowiadające nowe awantury w celu zupełnego usunięcia Żydów. Paragraf aryjski w Bratnich Pomocach stał się ograniczeniem za słabym. Bratnia Pomoc Studentów Politechniki Warszawskiej wprowadza t. zw. „paragraf aryjski wzmocniony". Oto ponure fragmenty ponurej całości.

W tej sytuacji nader pożądanym i godnym poparcia zjawiskiem jest zorganizowany sprzeciw młodzieży demokratycznej, której bierność i cierpliwość skończyła się. Takim sprzeciwem jest działalność Sekcji Młodych. Niezależnym od niej, nowym dowodem rosnącego sprzeciwu jest wystąpienie z Bratniaka na Politechnice znacznej części jego członków. Porzucili oni starą organizację, ponieważ dalszy w niej udział przyniósłby im ujmę. Starają się obecnie o legalizację nowego stowarzyszenia na zasadach demokratycznych. Duża liczba młodzieży ogarnięta jest zapałem do pracy na powstającej placówce, jeszcze większa poprze ją w realizacji trudnego zadania.

ADAM KOTARBINSKI

Do przyjaciół „Epoki"

Prosimy o podanie nam adresów osób, którym należy przesłać numery okazowe „Epoki"

Człowiek, jako „materia tragiczna"

Michał Otawa wychodzi z bramy więziennej, mija napis nad wyjściem: „Idź i nie wracaj więcej".

Tu — przy bramie — jakgdyby na przekór wypisanemu wezwaniu, autor zatrzymuje nas. Michał sam sobie pójdzie na wolność. My — cofniemy się w czasie i przestrzeni. Wrócimy do życia, które minęło, do dni więziennych, do setek takich dni podobnych do siebie, zakuwających w całość ludzkie życie. Wrócimy do więzienia.

Wypiski, wałówki, widzenia, podania, spacery, „grypsy", „ksywy", „konie"...

Ważność rzeczy błahych i błahość rzeczy, które są ważne. Wpływ więziennego ubrania na psychikę człowieka. Upodlenie natury ludzkiej i okrucieństwo więziennego żartu...

Tragikomedia „lecznictwa"...

Słowem — więzienie. Oprowadzał nas po nim ktoś, kto chciał dać „prawdę o więzieniu".

Prawda okazała się przejmująca.

Marian Czuchnowski napisał powieść o więzieniu, by wypowiedzieć swój „sąd artystyczny o człowieku bez względu na to kimby on tu był".

Patrzmy. Przed nami odcinek życia. Odcinek tragiczny zawarty w więzieniu, w którym niby w jakiejś olbrzymiej retorcie odbywa się destylacja duszy ludzkiej.

Biedne „cuwaksy" — naiwni nowicjusze więzienni — są przedmiotem nieludzkich żartów różnych Filipków, Tłuczków, Koźlaków. A kobiety? Kobiety bywają jeszcze straszniejsze, bardziej wyrafinowane w swym okrucieństwie. Zabawa z „nową" i średniowieczne „próby" czarownic to samo chyba mają podłoże. Żywioł nienawiści kobiety względem kobiety — jakaś prawieczna walka w obrębie swego gatunku w podświadomym dążeniu do gatunku przeciwnego — pragnienie usunięcia drugiej kobiety, pragnienie zniszczenia w niej rywalki tkwi głęboko ukryte w naturze kobiecej. Życie społeczne ludzi stłumiło instynkty i w kobiecie — życie gromadne, towarzyskie wyhodowało je tak zgrabnie, że są one odczuwane nieraz nawet szczerze, jako potrzeba duchowa przyjaźni, — nie zdołało niestety przetworzyć natury do gruntu. Gdzieś w najgłębszych pokładach duszy tli się dzika, zła iskra. I trzeba tylko, żeby z jakichkolwiekbądź względów społeczeństwo przestało być wędzidłem, aby, odgrzebana spod tłumiących ją warstw konwenansu i umowy, iskra wybuchła płomieniem przy pierwszej sposobności. Taką sposobnością było torturowanie czarownic, któremu soków żywotnych dostarczyła z pewnością również starość pobożnych matron. Zabawę z „nową" urządziły sobie stare jędze więzienne.

Człowiek w więzieniu jest sobą. Tak, tak. Konwenans, umowa, pozory — zwykłe szaty człowieka żyjącego w stadzie — opadają zeń jak zbędne łachmany. —

I dlatego chyba po swój sąd artystyczny o człowieku poszedł Czuchnowski do więzienia. Tutaj mógł obserwować — jak obserwuje się na specjalnej pożywce wyhodowane czyste bakterie — prawdziwe odruchy i prawdziwe zachowanie się tego mikroba wszechświata, jakim jest człowiek. Rezultat obserwacji chwilami zdumiewa. Taki Zahlpeter — notoryczny złodziej, oszust niepoprawny, dla którego krzywda i nieszczęście drugiego nigdy nie były przeszkodą na drodze do zdobycia pieniędzy, kpiący z cudzego życia i cudzej śmierci — w zimnym „karcu" zdejmuje marynarkę, bo przecież chory Józek nie może siedzieć na zabłoconej podłodze, — wybija szybę w więziennym okienku, chociaż „na karcer szedł mróz i zimno", bo powiew świeżego powietrza sprawi ulgę śmiertelną dusznością umęczonemu Józkowi... Tak samo Murcek. Tak samo bandyta i brutal Tarsa — słaniając się z głodu przy pomocy równie osłabionych towarzyszy dostał się do sufitu, by w jego wilgoci zmoczoną chustką zaspokoić pragnienie ko-

nającego Samka. Tłuczek — bestia, zdawało się pozbawiona wszelkich ludzkich uczuć — we łzach całuje ręce umierającego towarzysza.

Okrutne cęgi cierpienia zacisnęły się mocniej i... jednocześnie na szyjach kilku „samotnych racji" — człowiek przestał być sam...

Może dlatego w tych strasznych ludziach... tyle tkliwości.

Jest moc, jest siła, która „samotną rację" uświęca, sublimuje — która każe zapomnieć, że racji tej fundantem jest zbrodnia i występek. Ta moc — to śmierć.

Zmarły Zahlpeter nie miał twarzy złodzieja — „była to twarz cierpiącego człowieka, oszukanego przez życie"...

A pod konopnym sznurem umocowanym u sufitu, koło „paki z nieheblowanych desek i wieka jej z czarnym krzyżem, namalowanym przez stolarza węglem", nie było zbrodniarza Rączki. Stał tam „boso na kamiennej podłodze w bieliźnie i w łańcuchach spłakany drżący człowiek".

Człowiek — „materia tragiczna" — bolesna prawda świata. Prawda, z którą, przymykając oczu, zbyt łatwo starano się rozprawić, a która teraz z co raz to większą mocą domaga się odbicia swego w formie — w kształcie artystycznym — domaga się słowa. Słowo wyprowadzi tragiczną prawdę z mroków. Słowo to będzie krzykiem. Krzyku tego nie zagłuszą wrzaski ludzi wołających o kołyszący czar literatury, która według nich ma być wytchnieniem od bólu i brzydoty życia. Krzyku tego nie zdołają również uciszyć „wiadome tłumiki", stosowane ze względu na spokój śpiących serc. Nie stłumi go nic. Rozlegać się będzie co raz częściej i co raz donośniej.

Człowiek, w słowie prawdziwym ujrzawszy swój portret tragiczny, zapragnie może goręcej zmyć piętno tragizmu ze swojej twarzy, zapragnie może roześmiać się szeroko, — radością nie obciążoną ani jedną łzą — i może radość tę ujrzy u kresu drogi wiodącej go od zwierzęcia do człowieka, który będzie umiał założyć zwierzęciu kaganiec.

S. STANISZEWSKA

Sygnały z Polski „B"

Pojęcie Kresów Wschodnich

Odległość w prostej linii od Białegostoku do najbliższego punktu granicy sowieckiej jest o kilkadziesiąt kilometrów większa niż od Warszawy do najbliższego punktu polskiej granicy zachodniej. Warszawę uważamy za miasto położone w sercu Polski, gdy tymczasem Białystok lub Brześć w naszym pojęciu są miastami wybitnie kresowymi. Tymczasem terenowo Białystok jest prawie równie centralnym miastem Rzeczypospolitej jak Warszawa, a sytuacja pod tym względem Brześcia jest znacznie od Warszawy korzystniejsza.

Jeszcze mniej uzasadnienia dla terminologii „Kresy Wschodnie" znajdziemy biorąc pod uwagę ich rozległy obszar. Nawet nie zdajemy sobie sprawy z tego, że te t.zw. „Kresy Wschodnie" to zn. teren leżący na wschód od linii Białystok — Brześć — Chełm zajmuje około 50% całego obszaru państwa polskiego. Należy więc dość ostrożnie szafować tym pojęciem kresowości, które ogarnia połowę terytorium państwa. Skoro względy położenia i rozległości jako najbardziej w tym wypadku istotne odpadają, jako uzasadnienie „kresowości" kresów, wobec tego trzeba się zgodzić z tym, że nasze kresy wschodnie nie są kresami (bo trudno o inne pojmowanie kresów jak terenów położonych na rubieżach, na krańcach). *Są to poprostu ziemie wschodnie, a nie żadne kresy.* Skoro jednak zwykliśmy nasze ziemie wschodnie nazywać kresami przeto muszą za tym przemawiać jakieś inne względy natury nie terytorialnej, w przeciwnym bowiem razie nie rozciągalibyśmy tego pojęcia na setki kilometrów od naszej wschodniej granicy.

I dochodzimy do wniosku, że istotnymi powodami utrzymania się tego pojęcia mogą być jedynie względy:

1) historyczno - kulturalno - narodowe.
2) społeczno - gospodarcze.

Zarówno pierwsza jak i druga grupa względów nie może uzasadniać pojęcia kresowości, dla którego istotnymi powodami może być tylko położenie terytorialne. Skoro jednak jest inaczej, to możemy się domyśleć, że to fałszywe pojęcie Kresów służy nam do przykrycia pewnych wstydliwych zjawisk, mających miejsce w naszym państwie.

Jeślibyśmy chcieli na nasze ziemie wschodnie patrzeć ze stanowiska historyczno - narodowego, wówczas nie mielibyśmy trudności w znalezieniu dla nich odpowiedniej nazwy. Kulturalny znowu punkt widzenia uzasadniałby pojęcie kresów, ale już nie w zakresie państwowości polskiej lecz raczej w skali europejskiej. Nasze ziemie wschodnie są bowiem miejscem styku kultury zachodniej łacińskiej i wschodniej bizantyjskiej. Oprócz tej pierwszej grupy względów, poważnym i kto wie czy nie bardziej ważnym uzasadnieniem „kresowości" naszych ziem wschodnich jest ich *sytuacja społeczno - gospodarcza.* Ten motyw szczególnie silnie występuje w części północno - wschodniej naszych ziem, z Polesiem włącznie. Najnowsza historia rozwoju gospodarczego naszego państwa wynalazła dla tych ziem pojęcie bardzo odpowiednie, pojęcie Polski „B". To nowe pojęcie może nam w dziedzinie nomenklatury gospodarczej całkowicie zastąpić nazwę kresów.

Pod złudną nazwą kresów wschodnich kryje się więc przede wszystkim cecha gospodarcza tych terenów i to sobie zapamiętajmy.

II. SPECYFIKACJA GOSPODARCZA TERENU.

Skoro za główną cechę i uzasadnienie kresowości naszych ziem wschodnich uznaliśmy ich sytuację społeczno - gospodarczą, wypada nam przystąpić przede wszystkim do tych specyficznych cech gospodarczych, dzięki którym nasze ziemie północno-wschodnie zostały zakwalifikowane jako Polska „B". Jak zwykle w takich wypadkach dla odtworzenia istotnego stanu rzeczy musimy uciec się do statystyki.

a) Zlokalizowanie spostrzeżeń.

Dla ukonkretnienia zagadnienia należy ściśle zlokalizować dane statystyczne, które niżej podamy. A więc: ściśle dane statystyczne którymi będziemy operować dotyczą wyłącznie dwu województw: nowogródzkiego i wileńskiego.

Obszar tych dwu województw wynosi 51.977 klm. kw. Ludności zaś na tym terenie mieszka wg. spisu z r. 1931 2.333 tys.

Biorąc pod uwagę naturę gospodarczą tych terenów, możemy śmiało jednak rozszerzyć wnioski na podstawie ich stanu gospodarczego wysnute również na województwo białostockie z wyjątkiem jego powiatów zachodnich (cztery wschodnie powiaty są wliczone również przez statystykę oficjalną do ziem północno - wschodnich) i na województwo poleskie, którego sytuacja gospodarcza jest raczej gorsza w porównaniu z województwami północnymi. W ten sposób nasze wnioski i spostrzeżenia będą dotyczyły obszaru wynoszącego ponad 100 tys. klm. kw. a więc więcej niż ¼ całej Rzplitej, z ludnością, uwzględniając przyrost naturalny od r. 1931, ponad 5 milionów.

b) Charakter rolniczy.

90% ludności województwa nowogródzkiego stanowi ludność wiejska, zajmująca się rolnictwem. W województwie wileńskim ze względu na istnienie tu dużego ośrodka miejskiego Wilna procent ludności wiejskiej wynosi znacznie mniej (ok. 80%). Wschodnia część województwa białostockiego jest pod tym względem zbliżona do wileńskiego, poleskie zaś nie wiele się różni od nowogródzkiego. Biorąc średnią arytmetyczną, dojdziemy do wniosku, że procent ludności wiejskiej na tych terenach wynosi ok. 85. Jeżeli zaś weźmiemy pod uwagę wysoce rolniczy charakter mniejszych miasteczek kresowych wówczas procent ludności żyjącej z rolnictwa jeszcze bardziej wzrośnie i kto wie czy nie dosięgnie liczby 90, czyli w cyfrach bezwzględnych 4.5 miliona.

c) Liczba gospodarstw i proces ich rozdrabniania.

Ażeby się przekonać jak żyje i pracuje te 4,5 miliona ludności wiejskiej zwróćmy się do szczegółowszej statystyki z dziedziny rolnej.

W/g danych statystycznych z roku 1931, województwo wileńskie liczyło 170,300 gospodarstw rolnych, województwo zaś nowogródzkie 162.425. Już jednak statystyka z roku 1935 posiadana przez Izbę Skarbową w Nowogródku (najbardziej więc dokładna) wykazuje liczbę gospodarstw — 214.458, a więc wzrost z górą o 52 tys. Niezgodność ta może wynikać: 1) z niedokładności przy spisie, 2) z normalnego przyrostu liczby gospodarstw w ciągu pięciolecia wskutek wciąż istniejącego procesu podziałowego. Niedokładności przy spisie w żadnym wypadku nie mogły być aż tak wielkie, aby usprawiedliwić podobną różnicę. Wszelkie względy przemawiają za tym, aby statystykę skarbową uznać za najdokładniej oddającą obecny stan rzeczywisty.

Proces rozdrabniania gospodarstw i jego intensywność może więc usprawiedliwić nawet tak poważną różnicę w ilości gospodarstw. Zjawisko to świadczy bardzo wymownie o zastraszającym tempie tego rozdrobnienia. Jeżeli w ciągu następnego 5-lecia proces ten nie ulegnie zahamowaniu, do czego nie ma żadnych podstaw, a raczej może przybrać na sile, na mocy normalnej progresji, to do 1940 r. ilość gospodarstw wzrośnie o nowe z górą 50 tys. i wyniesie ok. 270 tys. co musi odbić się tragicznie na przyroście gospodarstw karłowatych.

Jeżeli chodzi o województwo wileńskie nie jesteśmy w posiadaniu statystyki aktualnej, ponieważ jednak podobieństwo ustroju rolnego i sytuacji rolnictwa jest niemal analogiczny, nie ma podstaw przypuszczać, że procesy podziału gospodarstw i wzrostu jednostek gospodarstw rolnych przebiegają tu w sposób inny niż w sąsiednim województwie nowogródzkim. Na identyczność tego procesu uporczywie wskazują porównawcze statystyki poszczególnych powiatów.

Jeżeli więc przyjmiemy tylko, że w województwie wileńskim przyrost ilości gospodarstw był podobny w liczbach bezwzględnych do przyrostu ilości gospodarstw w wojew. nowogródzkim to dojdziemy do prostego wniosku, że liczbę gospodarstw województwa wileńskiego w/g ofic. stat. z r. 1931 należy powiększyć jeszcze o 50 tys.

d) Gospodarstwa karłowate.

Za gospodarstwo karłowate w naszych warunkach (na ziemiach północno - wschodnich) biorac pod uwagę jakość gleby i stan kultury rolnej uważać należy gospodarstwa poniżej 5 ha. Przy glebach lepszego gatunku wprawdzie norma ta może być obniżona, lecz za to w wypadku, gdy mamy gleby lichsze, które tu przeważają, również za gospodarstwo karłowate trzeba uznać nawet gospodarstwo 7-mio i więcej hektarowe, szczególnie jeśli podział na użytki jest nie korzystny (mały stosunkowo odsetek ziemi ornej). Określając średnią normę wielkości maksymalnej na 5 ha będziemy mieli tego typu gospodarstw w/g statystyki oficjalnej z r. 1931:

w województwie wileńskim 66.028
w województwie nowogródzkim 80.560

porównując ilość powyższą z ogólną ilością gospodarstw, przekonamy się, że w stosunku procentowym gospodarstwa karłowate wynoszą:

w wojew. wileńskim 46%
w wojew. nowogródzkim 53.5%.

Ta jednak oficjalna statystyka daleko już odbiega od stanu rzeczywistego. Przypominamy sobie dużą różnicę pomiędzy statystyką oficjalną z 1931 r. a statystyką z roku 1935 Izby Skarbowej w Nowogródku, jeśli chodzi o określenie ogólnej liczby gospodarstw. Nie mniej poważne różnice spotykamy i tutaj, co zresztą było do przewidzenia.

W/g obliczeń Celestyna Galasiewicza, naczelnika wydziału samorządowego w województwie nowogródzkim na terenie tego województwa gospodarstwa karłowate z roku 1936 (obliczenia z roku 1935) stanowią 62,1% ogólnej ilości gospodarstw. Porównując ten stosunek do obliczeń poprzednich opartych na statystyce oficjalnej z r. 1931 otrzymamy, iż w ciągu 5 lat liczba gospodarstw karłowatych wzrosła procentowo o 8.6%.

---

[1]) Sam stosunek tych liczb nie da tak wysokiego procentu, należy jednak wprowadzić do liczb, wyrażających ilość bezwzględną gospodarstw, wprowadzić następujące poprawki. Statystyka oficjalna przy podziale na grupy gospodarstw w/g wielkości zawiera pewną ilość gospodarstw o wielkości minimalnej. Ilości te wynoszą dla wojew. wileńskiego 26.282, dla wojew. nowogródzkiego 11.738. Można przypuszczać z dużą dozą prawdopodobieństwa, że gros tej liczby stanowią znowu gospodarstwa o wielkości minimalnej, gdyż tylko ich wielkość jest do określenia najtrudniejsza natomiast większe gospodarstwa w szczególności posiadające uregulowaną hipotękę tych trudności nie nastręczają. Jednakże dla uniknięcia dowolności trzeba uznać za najbardziej odpowiednie, aby liczbę ogólną gospodarstw zmniejszyć o ilość gospodarstw wielkości niewiadomej a następnie dopiero określić stosunek procentowy gospodarstw karłowatych do ogólnej ilości gospodarstw, po wyłączeniu z nich gospodarstw niewiadomej wielkości.

Nie uwzględniając nawet niewątpliwej w tym procesie progresywności otrzymujemy, że procent gospodarstw karłowatych w wojew. nowogródzkim wzrasta rocznie od 1,5 do 2% w stosunku do ogólnej ilości. *obecnie więc (r. 1938) gospodarstwa karłowate wynoszą 67 — 68% czyli więcej niż ⅔ ogólnej ilości gospodarstw.*

Odpowiednio ścisłych danych tak samo tutaj jak i przy obliczaniu ogólnej liczby gospodarstw w odniesieniu do wojew. wileńskiego nie mamy. Można tylko wnosić z dużą dozą prawdopodobieństwa, jeśli nie całkowitej pewności, że sprawa gospodarstw karłowatych i proces ich tworzenia się jest podobny, jeśli nie zupełnie identyczny.

Skoro w ciągu wzmiankowanego okresu od 1931 roku dla woj. nowogródzkiego procent gospodarstw karłowatych wzrósł niemal o 15%, to nawet licząc po 1,5% rocznie (minimalny wzrost dla wojew. nowogródzkiego) otrzymamy ogólny wzrost gospodarstw karłowatych w wojew. wileńskim o 12% czyli ilość ta obecnie (w roku 1938) wynosi przypuszczalnie około 58,5%.

e) Liczba ludności żyjącej na gospodarstwach karłowych.

Określiliśmy przypuszczalną liczbę mieszkańców wsi terenów północno - wschodnich na ok. 4.5 miliona. Jeżeli przyjmiemy, że na terenach, o których mowa (100 tys. km. kw.) istnieje ta sama średnia procentowość gospodarstw karłowatych co na terenie dwu województw wileńskiego i nowogródzkiego, to otrzymamy, że 2,8 miliona ludności wiejskiej żyje na gospodarstwach karłowatych.

f) Zajęcie dodatkowe ludności.

Te 2,8 miliona ludności nie mogąc się utrzymać z pracy na swym często aż do śmieszności wąskim zagonie*), musi szukać jakichś zajęć i dochodów dodatkowych.

1) w przemyśle ludowym,
2) na robotach publicznych,
3) w lasach państwowych,
4) w lasach i majątkach prywatnych,
5) w przemyśle lub rzemiośle,
6) w emigracji sezonowej na roboty rolne do Łotwy i Estonii.

*) Szerokość sznura schodzi często poniżej 1 m. Należyta uprawa takiej wstążki ziemi jest fizyczną niemożliwością, gdyż nawet pomieszczenie się z jakimkolwiek narzędziem uprawy jest nie do pomyślenia.

Rzeczą byłoby b. uciążliwą, trudną i nie zawsze możliwą ustalić przynajmniej w przybliżeniu jaka część ludności małorolnej znajduje sobie to zajęcie a raczej zarobek dodatkowy poza rolnictwem.

W/g obliczeń, przeprowadzonych przez Komisję Naukowych Badań Ziem Wschodnich na terenie województw wileńskiego i nowogródzkiego, zajęcie dodatkowe w przemyśle ludowym znajduje ok. 10 tys. rodzin; jeśli nawet drugie tyle rodzin zarobkuje w ten sposób na terenie wojew. poleskiego i wschodniej części białostockiego to razem obejmie to ok. 100 tys. osób licząc przeciętnie 5 osób na rodzinę. W przemyśle fabrycznym i rzemiośle znajduje zajęcie znacznie mniejsza ilość ludności małorolnej.

Mówiąc o zajęciach ludności małorolnej w lokującym się na ziemiach północno - wschodnich przemyśle, należy zaznaczyć nawiasem, że zarobki w tym przemyśle z wyjątkiem Wilna, gdzie zdecydowanie miejski charakter ośrodka stwarza inne warunki, są b. niskie i wahają się od 1 do 2 zł. dla robotników i ok. 1 zł. i niżej dla robotnic. Ta przeciętna wysokość płac w przemyśle fabrycznym na terenach północno - wschodnich ziem uniemożliwia stwarzanie zdrowych stosunków społecznych i klarowanie się miejskości lub wiejskości elementu zarobkującego w przemyśle. Robotnik pracę w fabryce traktować musi jako zajęcie jedynie „dodatkowe" oprócz swej pracy na roli. W ten sposób pracujący w fabryce nie zwalnia rolnego warsztatu pracy. Zagadnienie rozbudowującego się na ziemiach północno - wschodnich przemysłu wymaga zarówno z tych względów gospodarczo - społecznych jak również i z polityczno - moralnych specjalnego opracowania. Emigracja sezonowa na roboty do Łotwy i Estonii obejmuje zwykle kilkadziesiąt tysięcy osób. Najpoważniejszą jednak pozycją dochodów dodatkowych dla małorolnych są zarobki w lasach państwowych, które ciągle ze względu na intensyfikację państwowej gospodarki w lasach wzrastają, przybierając równocześnie b. dogodne dla rolników formy. Kwestii jednak nie ulega żadnej, że olbrzymia część ludności małorolnej z gospodarstw karłowatych nie może i nie jest w stanie znaleźć jakiegoś zarobku pozarolniczego. Ta liczona na miliony ludność, żyjąca na naszych ziemiach północno - wschodnich, musi zaciskać pasa, aż niemal do kręgosłupa i cierpieć głód. Jeśli więc „ankieta cyborska" lub jakiś reportaż z zapadłej wsi mówi o nędzy życiowej małorolnego chłopa należy to sobie świadomie uogólnić, pamiętając, że się ma tutaj do czynienia z głodem chłopskiej rzeszy milionowej.

JAN DUCHNOWSKI.

Na widowni polskiej i światowej

„WIEDZA KULTURALNA"

Leży przed nami ciekawy dokument: „Cultural Information Bulletin, prepared and issued by The Cultural Information Bureau of Japan (for the Diffusion of Cultural Knowledge)". Po polsku: „Biuletyn Informacji Kulturalnej, przygotowany i wydany przez Biuro Informacji Kulturalnej Japonii (dla rozpowszechnienia wiedzy kulturalnej)". Jak widzimy, słowo „kulturalny" powtarza się w tytule tylko trzy razy. Prawda, w tekście to słowo spotyka się o wiele rzadziej. Bodajże nie spotkamy go ani razu.

Na dwudziestukilku stronach znajdujemy tam wykład złotych myśli pana Nakano, wodza faszystowskiej partii japońskiej Takahai, wysłanego jako „Japaness People Envoy", jako „poseł narodu japońskiego z przyjacielską misją do Niemiec i Włoch. Pan Nakano posiada jedną cenną właściwość: szczerość. Z niebywałą jasnością wykłada on na stół całą treść totalistycznego „trójkąta".

„Wielkie narody, takie jak Włosi, Niemcy i Japończycy mają prawo zabezpieczyć sobie przyszły rozwój narodo-

wy. Tylko w wykonaniu tego prawa Niemcy żądają zwrotu kolonii, Włochy bronią swych życiowych pozycji na Morzu Śródziemnym, a Japonia stara się usunąć obce antyjapońskie siły z Chin (nawet, jeśli takimi obcymi siłami jest np. Czang-Kai-Szek! przyp. Red.)".

Rzecz jasna, że tylko złośliwość wrogów może się przeciwstawić tak słusznym i usprawiedliwionym żądaniom. Rzecz charakterystyczna, jako główny wróg figuruje Anglia: „Nie przy pomocy uczciwej konkurencji Japonia została wyparta z rynków Indii, Australii i Egiptu. Wyrzucono ją stamtąd przez zastosowanie przemocy politycznej" — oto, jak gorzko skarży się pan Nakano, że trusty Mitsui i Mitsuibishi nie mogły sprzedawać na rynkach zagranicznych towarów.

Czyż można się dziwić, że w oczach p. Nakano każde przeciwstawienie się japońskiej ekspansji jest dowodem egoizmu albo nienormalności? „To nie same Chiny przeciwstawiły mocny opór siłom japońskim. To Chiny **nienormalne** (w **oryginale abnormal**) **podburzone** przez Sowiety i uzbrojone przez obcy kapitał". Nawet zwykłe zastosowanie techniki wojennej nabiera u p. Nakano zgoła szatańskiego oblicza. „Okopy i umocnienia utrwalone i planowo założone, przez Chińczyków w Szanghaju i dokoła Szanghaju, są typowe dla chińskiej obrony przeciw Japonii, obrony wzorowanej na Sowietach i wzmocnionej kapitałem angielskim żydowskiego pochodzenia". P. Nakano wolałby widać, by Chińczycy bronili się starymi metodami, parasolami i papierowymi smokami. Ale zdaje się nam, że w stosowaniu przez Chińczyków nowoczesnej techniki nie ma więcej „bolszewickiej intrygi" niż w używaniu przez japońskich samurajów aeroplanów zamiast tradycyjnych mieczów.

Ale żarty na bok. Naiwności p. Nakano kryją niezwykle poważną treść. „Liga Narodów powinna zarzucić zasadę egoistycznej kontroli ziem i bogactw przyrodzonych i wprowadzić **nowy międzynarodowy porządek**". Taki porządek, w którym żadne nienormalności nie przeciwstawiałyby się ekspansji japońskiej w Chinach, włoskiej w basenie śródziemnomorskiej a niemieckiej w Europie południowej i wschodniej. Słowem, p. Nakano, ambasador „trójkąta" żąda nowego podziału świata.

Zakulisowe targi i konflikty

Tenże p. Nakano prościej, jaśniej i o wiele słuszniej, niż długie artykuły dyplomatycznych speców, informuje nas o najważniejszym źródle sukcesów totalistycznego trójkąta. Jest nim ustępliwość państw demokratycznych, ich ciągłe kapitulacje przed — użyjmy tu niedawnego wyrażenia lorda Cranbornéa — ciągłymi „szantażami" dyktatur. P. Nanako ilustruje nam to twierdzenie na konkretnym przykładzie remilitaryzacji Nadrenii. Ujawnia on jej stronę zakulisową, targi i konflikty wewnątrz kierownictwa Trzeciej Rzeszy, które poprzedziły wmaszerowanie do Nadrenii.

Oto, co mówi p. Nakano: „Władze wojskowe niemieckie odradzały akcji, gdyż obawiały się wspólnego frontu Anglii, Francji i Rosji przeciw Niemcom. Oświadczały wręcz, że nie mogą przyjąć na siebie odpowiedzialności za taką akcję. Reichsführer Hitler wziął na siebie pełną odpowiedzialność za wojskową, dyplomatyczną, gospodarczą i nawet duchową, za tę akcję i polecił władzom wojskowym ją przeprowadzić. Mimo to wahały się one, czy ją wykonać. Wtedy Reichsführer powiedział, że Francja, wskutek swego sojuszu z Rosją jest zbyt zsowietyzowana, by móc chwycić za broń, że Rosja jest zbyt nieszczera, by chwycić za broń na pomoc Francji, że Anglia, już zgrzybiała (w oryg.: decrepit) nie pomoże Francji. Obiecał, że, **jeśli Francja przystąpi do akcji, armia niemiecka wycofa się.** Jego zdanie przeważyło. Wojska niemieckie wkroczyły do Nadrenii, Francja nie podjęła niczego konkretnego, Anglia i Rosja nie pomogły jej. Nieufortyfikowany pas nadreński został zajęty i ufortyfikowany przez Niemcy." Tyle p. Nakano.

Mniejsza o te czy inne nieścisłości i naiwności. Ale któż z nas może zaprzeczyć, że podstawowe stanowisko mocarstw demokratycznych, stanowisko **słownego** protestu, nie zmieniającego ani joty —w rzeczywistych faktach zostało słusznie przewidziane przez kanclerza Hitlera? Zanotujmy: gdyby Francja przystąpiła do akcji, armia niemiecka byłaby się wycofała. To znaczy: **nie byłoby wojny,** jak to zapowiadali szczerzy i mniej szczerzy pacyfiści w owym czasie. Nie tylko **nie byłoby wojny,** ale Nadrenia **nie byłaby ufortyfikowana,** a to znaczy, że Niemcy byłyby miały **o wiele bardziej związane ręce na Wschodzie i Południu,** bo armia francuska, na wypadek jakiejkolwiek agresji niemieckiej miałaby otwartą drogę w głąb Niemiec, Niemcy nie mogłyby więc rzucić wszystkich swych sił gdzieindziej. Gdyby nie pozwolono na ufortyfikowanie Nadrenii, nie tylko nie byłoby wojny na Zachodzie, ale również nie byłyby możliwe zakusy wobec Austrii, a jutro, być może agresja wobec Czechosłowacji. Gdyby nie pozwolono na ufortyfikowanie Nadrenii, p. Förster w Gdańsku musiałby mówić nieco innym tonem, niż mówi teraz.

Którędy droga?

W tej samej mowie p. Nakano opowiada nam szczerze i szeroko o planach Niemiec w Europie. Ciekawe informacje, warto posłuchać. Oto jego słowa:

„Niemcy otwarcie oświadczyły, że brak im przestrzeni i bogactw przyrodzonych, że muszą one dlatego przystąpić do ekonomicznej ekspolatacji Ukrainy. To nie jest bezmyślna, ale za to bardzo jasna dyplomacja. Hitler prosto oświadcza, że jeśli Niemcy zostaną przyparte do muru, to znajdą wyjście na Wschód i zajmą Ukrainę. To uspokaja Francję i Anglię. Że zaś to nie spodoba się Rosji, na to niema już rady, bo Niemcy poprostu muszą to zrobić."

Znowu mniejsza o szczegóły, w których p. Nakano nie zupełnie się orientuje. Nie wiemy, n. p. czy nietylko Francja (pakt francusko-sowiecki!) ale nawet Anglia byłaby tak spokojna na widok niemieckiego „Ritt gegen Ostland". Bo ten „Ritt" byłby bądź co bądź mocno skomplikowanym przedsięwzięciem, mogącym przerzucić ogień na cały nasz kontyngent. **Ale to nie jest w tej chwili najważniejsze.**

Dla nas, w Warszawie, szczególnie interesujące jest inne pytanie. Być może, p. Nakano, dyplomata i poseł wysłany w misji specjalnej do Berlina i Rzymu, orientujący się świetnie w zamiarach kanclerza Hitlera, mniej dobrze orientuje się w geografii Europy. Bo inaczej wiedziałby, że droga z Berlina czy Wrocławia do Kijowa i Odessy prowadzi przez... Katowice, Poznań, Warszawę, Lwów. I to co interesuje nas najbardziej to taki problem: jak przedostaną się na tę Ukrainę brunatne zastępy? Próżno szukamy na mapie drogi, która pozwoliłaby im ominąć Polskę. A przecież żaden polski dyplomata nie zgodzi się na przemarsz wojsk niemieckich przez Polskę w drodze na Ukrainę. Bo pomijając już fakt, że równałoby się to wciągnięciu Polski w wojnę, w której napewno nic uzyskać a wszystko stracić możemy, cóż stałoby się, gdyby brunatne zastępy, stanęły tak sobie przed sowiecką „linią Maginota" i oświadczyły, że zostają tutaj, bo „Niemcy poprostu muszą tak zrobić"? Więc — którędy pójdzie Hitler na tę Ukrainę?

NIEWĄTPLIWA ODPOWIEDŹ NA POWAŻNE WĄTPLIWOŚCI.

W swej ostatniej mowie w Reichstagu, kanclerz Hitler po raz pierwszy operował statystykami. Na słuchaczy posypał się grad zestawień statystycznych, mających na celu wykazanie, jakie to olbrzymie wyniki osiągnął „narodowy socjalizm" i jak wspaniale rozwinęło się pod jego rządami gospodarstwo niemieckie. Liczby były doprawdy imponujące, tylko system obliczenia ich nasuwa poważne wątpliwości fachowym statystykom. Chodzi o to, że za bazę porównawczą wziął kanclerz Hitler rok 1932, rok „dna kryzysu", którym Niemcy zostały — z szeregu przyczyn — szczególnie dotknięte. Takie porównanie nie uwzględnia faktu, że w dziejach demokratycznej republiki niemieckiej były przecież również inne lata, niż rok 1932.

Londyński „Economist", najpoważniejsze, o światowej sławie, pismo gospodarcze Anglii, wychodzące od 130 lat, zdawna i tradycyjnie liberalne, ale dalekie od wszelkiego socjalizmu i radykalizmu, spróbowało wyrównać tę lukę. Pismo porównywa rozwój gospodarczy Niemiec i Anglii, zestawiając rok 1937 z rokiem 1929, ostatnim rokiem koniunktury. I do jakich wniosków dochodzi?

W Anglii produkcja przemysłowa 1937 roku wynosi 122,7% stanu z 1929 r., w Niemczech — 116,9%.

W Anglii produkcja energi elektrycznej wynosi 222,5% stanu, z 1929 r., w Niemczech — 149,0%.

W Anglii produkcja automobili wynosi 212,6% stanu z 1929 r., w Niemczech — 189,9%.

W Anglii liczba zatrudnionych w przemyśle wynosi 112,4% stanu z 1929 r., w Niemczech — 103,0%.

W Anglii realna wartość zarobków robotniczych wynosi 110,9% stanu z roku 1929, w Niemczech — 97,9%.

Co mówią te cyfry? Mówią one, że „sukcesy" gospodarcze hitleryzmu w Niemczech to po prostu wynik światowej poprawy koniunktury w latach ostatnich, poprawy z której notabene parlamentarna, brzydząca się totalizmem Anglia, skorzystała o wiele więcej niż faszystowskie Niemcy. Niemcy tylko pod jednym względem wykazują rozwój zasadniczo różny od angielskiego: oto wartość realna zarobków robotniczych w Anglii podniosła się znacznie, w Niemczech zaś spadła. Ten spadek jest niewątpliwie oryginalnym osiągnięciem niemieckiej dyktatury — obozy koncentracyjne przecież muszą się komuś opłacać.

Tyle dane londyńskiego „Economista". Oparte są one na urzędowych statystykach niemieckich, tych samych, z których czerpał swe zestawienia kanclerz Hitler. Zaznaczmy na boku — wykażemy to szczegółowo przy innej sposobności — że statystyki te są specjalnie „ufryzowane", że dane rzeczywiste będą jeszcze mniej korzystne dla Niemiec.

KOMITET UCZCZENIA PAMIĘCI ANDRZEJA STRUGA.

W Warszawie powstał Komitet Uczczenia Pamięci Andrzeja Struga. W skład Komitetu wchodzą przedstawiciele kilkudziesięciu instytucyj i stowarzyszeń oraz grono osób z pośród towarzyszów pracy zmarłego Wielkiego Pisarza. Zadaniem Komitetu jest uczczenie pamięci Zmarłego przede wszystkim przez spopularyzowanie Jego pism i zaznajomienie najszerszego ogółu z Jego życiem i pracą.

Przewodnictwo honorowe Komitetu objął Ludwik Krzywicki. Wiceprezesami honorowymi wybrani zostali: Wacław Berent, Stanisław Bukowiecki i Zofia Nałkowska. Komitet wyłonił Wydział Wykonawczy w następującym składzie: Przewodniczący — Stanisław Thugutt. Wiceprzewodniczący — Jan N. Miller, Adam Próchnik, gen. Mariusz Zaruski i Bronisław Ziemięcki. Sekretarze — Edward Kozikowski i Julian Maliniak. Skarbnik — Mieczysław Szerer. Członkowie Wydziału: Maria Dąbrowska, Regina Fleszerowa, płk. January Grzędziński, Marceli Handelsmann, Bolesław Hryniewiecki, Irena Kosmowska, Manfred Kriedl, Leon Kruczkowski, Mieczysław Michałowicz, Stanisław Stempowski, Zygmunt Szymanowski, Teofil Wojeński i Leon Chrzanowski. Do Komisji Finansowej wybrano: Hipolita Gliwica, Mieczysława Szerera i Zygmunta Szymanowskiego. Do Komisji Rewizyjnej powołano Faustyna Czerwijowskiego, Jana Gebethnera i Józefa Ziabickiego. Komitet ma tymczasową siedzibę w Związku Zawodowym Literatów Polskich, Warszawa, ul. Pierackiego 16-A, pod którym to adresem należy kierować korespondencję oraz ofiary na fundusz uczczenia Pamięci Andrzeja Struga. Pod tym samym adresem Komitet prosi o łaskawe nadsyłanie wszelkich materiałów, dotyczących działalności i pracy życiowej Andrzeja Struga.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Józef Piłsudski: Pisma zbiorowe. Wydanie prac dotychczas drukiem ogłoszonych. Tom X. Skorowidze i uzupełnienia. Warszawa 1938. Instytut Józefa Piłsudskiego poświęcony badaniu najnowszej historii Polski.

Nowoczesna Encyklopedia Zdrowia pod redakcją D-ra A. Rząśnickiego. Tom I. Wydawnictwo „Minerwa". Warszawa.

Jan Waśniewski: Po dniówce. Opowiadania. Warszawa 1938. Towarzystwo Wydawnicze „Rój".

Nauka Polska, jej potrzeby, organizacja i rozwój. Tom XXIII. Wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego. Warszawa 1938.

Halina Krahelska: Zdrada Heńka Kubisza. Powieść. Słowo wstępne Stanisława Baczyńskiego. Warszawa 1938. Wydawnictwo Nowej Biblioteki Społecznej.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się

PRENUMERATA kwartalnie — zł 4.—. Numer pojedyńczy 50 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.

REDAKTOR i WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 4690 Odbito w Zakł. W. Piekarniaka. Warszawa, Ordynacka 3.